Luty — Marzec 1935

NASZA

PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA
POLSKIEJ
MYSLI
PAŃSTWOWEJ

TOM XLIII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYNSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka. Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

TREŚĆ:

INAUGURACJA SEKCJI DLA USTROJU KORPORACYJNEGO.

W myśl ogólnych wytycznych swego statutu, skonkretyzowanych następnie przez Zarząd w postaci dziesięciu głównych kierunków działania, którym odpowiać mają poszczególne sekcje, przystąpił Związek Polskiej Myśli Państwowej do kolejnego uruchomienia tych sekcji. Istniały one już niemal wszystkie oddawna, niektóre nawet od lat kilku, w łonie Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości, z którego powstał nasz Związek. Niektóre z nich osiągnęły już nawet bardzo poważne rezultaty swej działalności. Ale działalność ta była często przerywana wobec niedostatecznego zastępu odpowiednich działaczy. Obecnie więc Związek Polskiej Myśli Państwowej ma za główne swe zadanie sekcje te zregenerować, działalność ich pogłębić i rozszerzyć i zapewnić jej systematyczną ciągłość, pozyskując dla poszczególnych swych kierunków działania większą ilość pisarzy i działaczy.

Z pewnych jednak, dobrze przemyślanych względów wysunął Zarząd Związku na pierwszy plan stworzenie Sekcji dla zagadnienia ustroju korporacyjnego, między innymi także i dlatego, aby, podejmując taką sprawę o szerokim zakresie, odciąć się tem wyraźniej od zakresu działania stronnictw politycznych i zaakcentować swoją rolę jako zrzeszenia o charakterze ogólnej użyteczności państwowej i społecznej. Sekcja ta i wogóle ten temat zostały niedawno dopiero włączone w program działalności Związku. Nasza Przyszłość poruszała wprawdzie już poprzednio tę sprawę, ale tylko teoretycznie, ogólnikowo. Założycielom Związku i jego Zarządowi wydało się jednak koniecznem zająć się bliżej problemem korporacyjnym, jako jednym z najważ-

niejszych dla przyszłej ewolucji ustroju państwowego i społeczno - gospodarczego.

20-go lutego odbyło się inauguracyjne zebranie Sekcji pod przewodnictwem prezesa Związku i w obecności licznych członków, sympatyków, przedstawicieli pewnych organizacji oraz trzech wybitnych znawców przedmiotu, przybyłych z poza Warszawy, mianowicie profesora Franciszka Bossowskiego z Wilna, mecenasa dr. Kazimierza Dziembowskiego z Poznania i profesora Ludwika Górskiego z Lublina.

Przewodniczący, dr. Jan Bobrzyński, witając zebranych, zagaił temat następującem skonkretyzowaniem sprawy.

„Inaugurując imieniem Zarządu Związku prace Sekcji dla spraw ustroju korporacyjnego, pozwalam sobie wskazać przedewszystkiem na pewien fakt ciekawy i charakterystyczny, że mimo powszechnego pożądania w kraju, aby nowa Konstytucja, przynosząca ze sobą niewątpliwie wielką poprawę naszego ustroju państwowego, jak najrychlej już została przez Izby ustawodawcze uchwalona i weszła w życie, rozpowszechnia się przeświadczenie, że to obecne dzieło Naprawy ustroju Rzeczypospolitej jest dopiero pierwszym etapem na drodze do ustalenia sobie przez naród polski właściwej, na długie czasy ostatecznej formy ustroju politycznego i społeczno-gospodarczego, odpowiadającego naprawdę wymaganiom nowoczesnych stosunków. Wypowiedział się w tym sensie niedawno nawet sam referent poprawek konstytucyjnych w Senacie, hr. Rostworowski.

Istotnie — nowa Konstytucja, która, mamy nadzieję, w najbliższych tygodniach zostanie ostatecznie uchwalona, stanowić będzie bardzo poważny krok naprzód w dziele Naprawy, a przedewszystkiem przełom w dotychczasowych, odwiecznych polskich „złych obyczajach“ ustrojowych. Wprowadzi pewne zdecydowane, nowe, oryginalne pojęcia prawno-ustrojowe, zwłaszcza w sformułowaniu pojęcia władzy państwowej, jej źródła i podziału. Ale będzie

bądź co bądź tylko fragmentaryczną poprawą czegoś ujemnego, a nie zasadniczem stworzeniem prawdziwie nowoczesnych norm państwowego bytu, skoro oprze się w zasadzie na normach dotychczasowej konstytucji i ustroju, wykształconego w ciągu ostatnich stukilkudziesięciu lat na idei klasowego podziału społeczeństwa i wzajemnej walki tych klas.

A czas już jest chyba — i długoletnie praktyczne doświadczenie na to wskazuje — aby tej walce kres położyć i to nietylko odpowiednią polityką i doraźnymi paljatywami społeczno-gospodarczymi, ale w pierwszym rzędzie odpowiednim, nowym ustrojem państwa i społeczeństwa.

Od niepamiętnych czasów podzieliło się społeczeństwo na szereg warstw uszeregowaych poziomo, jedna nad drugą, od najuboższych i pod każdym względem najbardziej upośledzonych, aż do najwyższych, najzamożniejszych, najbardziej uprzywilejowanych, t. zw. arystokracji czy plutokracji. Wprawdzie idea demokratyczna zniosła formalne granice tych warstw, anulując wszelkie prawne przywileje, ale przez to właśnie tem zaciętsza wybuchła z końcem XVIII-go wieku walka klasowa, z której właściwie nikt nie wychodzi zwycięsko, wszyscy są poszkodowani, cierpi srodze normalny rozwój gospodarczy, a najdotkliwiej etyka i zdrowy moralny rozwój narodów.

Żadna konstytucja, na tym systemie sprzeczności klasowych mniej lub więcej oparta, nie będzie oczywiście w stanie temu stanowi rzeczy zaradzić. Będzie mogła stan wiecznej walki klasowej co najwięcej tylko nieco łagodzić i hamować. Ale mimo to żyć będziemy ostatecznie w stanie t. zw. „permanentnej rewolucji“.

Chodzi więc o to, aby, wprowadzając ogólną ideę ustroju korporacyjnego, wyeliminować zasadniczo moment nienawiści klasowej z psychiki społeczeństwa, a ugruntować na jego miejscu przeświadczenie o rzeczywistej wspólnocie żywotnych interesów między ludźmi. Na miejsce poziomego szeregowania się społeczeństwa w warstwy, na-

wzajem się zwalczające, a w obrębie których wre również walka różnorodnych interesów zawodowych, trzeba zorganizować społeczeństwo w stojące obok siebie zawodowe korporacje pionowe, z których każda skupiać w sobie winna fachowo ujmowane, realne interesy każdego danego zawodu i to według zasady „od pana do chłopa“ i „od kapitalisty do robotnika“.

Rezultatem ogólnym takiej reorganizacji społeczeństwa będzie wpojenie mu przeświadczenia o niezbędnej konieczności harmonijnego współdziałania mózgów, rąk, kapitału i pracy dla oczywistego dobra każdego zawodu, a stąd w konsekwencji także dla dobra każdej jednostki i całego społeczeństwa, czy państwa. Drugim zaś rezultatem będzie odpowiednia, fachowa emanacja tego ustroju w rządzie i ustawodawstwie państwa na miejsce obecnego, niemal na całym świecie jeszcze panującego systemu wyłaniania tej emanacji na zasadzie t. zw. przekonań politycznych, co do których wartości, szczerości, a nieraz nawet uczciwości nikt się chyba już dzisiaj zbytnio nie łudzi.

System więc ustroju korspodarcyjnego jest, zdaniem naszem, niewątpliwie tym właściwym, nowoczesnym ustrojem, do którego także i Polska zmierza i zmierzać powinna. Nie przesądza on zresztą żadnych szczegółów zewnętrznej formy rządu. Ale rzecz cała leży w tem, aby inicjatywa takiego ustroju, szeregującego społeczeństwo w odmienny, niż dotąd, sposób, wyszła z dołu, z prywatnej inicjatywy społecznej, a nie została narzuconą z góry, przez czynniki rządzące, jak to się stało we Włoszech. Wszelka bowiem oficjalna inicjatywa w takim zakresie sprowadziłaby w ostatecznym rezultacie pewien rodzaj niewoli społecznej, etatyzmu, czemu wszelkiemi siłami należy zapobiec.

Rozwój więc idei korporacjonizmu winien iść taką drogą, aby ustrój korporacyjny stał się na podstawie swobodnej inicjatywy społeczeństwa najpierw faktem dokonanym, a potem dopiero otrzymał odpowiednią, niezbędną sankcję z góry, od czynników rządzących w państwie.

Silne wzbudzenie tej inicjatywy prywatnej i pragmatyczne skoordynowanie wszelkich teoretycznych wysiłków, które istnieją już oddawna w różnych kołach na obszarze całego państwa, oraz racjonalne rozwiązanie różnych szczegółów tego ustroju przyszłości, jest zadaniem naszej Sekcji".

Z kolei zabrał głos prof. Bossowski.

„W przemówieniu niniejszem zamierzam naszkicować tło historyczne i podłoże społeczne, na którem wyrastają dzisiejsze dążenia do stworzenia ustroju korporacyjnego. W tym celu należy sięgnąć w przeszłość, do doktryny liberalnej z końca XVIII wieku. Nie poruszając tu strony politycznej doktryny liberalnej, ograniczając się jedynie do jej strony ekonomicznej, należy stwierdzić, że liberalizm ekonomiczny był sformułowaniem postulatów tworzącego się wówczas wielkiego przemysłu, który nie mógł się pomieścić i rozwinąć w ramach ustroju cechowego. To też zwycięstwo liberalizmu ekonomicznego objawia się jako wprowadzenie swobody przemysłowej, pozwalającej na wspaniały rozkwit wielkiego przemysłu i jako zniesienie ustroju cechowego. Równocześnie mniej więcej następuje zniesienie stosunków poddańczych i pańszczyzny. Skutkiem tych zmian stosunek prawny między przedsiębiorcą, jako pracodawcą, a robotnikiem poddany zostaje przepisom o najmie usług (locatio conductio operarum), praca zaś sama pod względem ekonomicznym zostaje zrównaną z towarem; skutkiem tego na pewnym rynku pracy (podobnie jak na rynku towarowym) poziom płac ustala się jednolicie dla wszystkich pracowników pewnej kategorji, a robotnik, tak jak towar, wędruje tam, gdzie spodziewa się znaleźć lepszą płacę; w szczególności nadmiar ludności z przeludnionych już wówczas wsi na zachodzie Europy spływa do rosnących miast i powstających centrów przemysłowych.

Zrównanie pod względem ekonomicznym pracy z towarem pociągnęło za sobą cały szereg poważnych konsekwencji, a między innemi poddało wysokość płacy wahaniom

zależnie od wpływu podaży i popytu. Wielkie techniczne wynalazki, dokonywane w ciągu XIX i z początkiem XX wieku, zmniejszały ilość pracy ludzkiej, potrzebnej do wyprodukowania pewnej ilości dóbr gospodarczych, zastępując ją maszyną; skutkiem tego zmniejszał się popyt na pracę, następowała obniżka płac i zwiększało się bezrobocie. W okresach korzystnej konjunktury zwiększał się popyt na pracę, ale wówczas robotnik, chcąc sobie zapewnić udział w formie odpowiednio zwiększonej płacy, strajkował, a zanim strajk został załagodzony, niejednokrotnie okres dobrej konjunktury już częściowo przemijał, niewyzyskany przez przedsiębiorcę skutkiem strajku. W dodatku strajki łączyły się zazwyczaj z mniejszemi lub większemi zaburzeniami porządku publicznego, ze zwiększonem pijaństwem, gwałtami wobec robotników, niechcących przyłączyć się do strajków i t. d., a chociaż przyniosły podwyżkę płacy, to jednak ta podwyżka płac nie była i nie mogła być żadną rekompensatą dla tych robotników, którzy kilka lub kilkanaście lat temu, w okresie niekorzystnej konjunktury, tracili pracę i przez to popadali w nędzę lub stawali się ciężarem dla dobroczynności publicznej. Do zaostrzenia sytuacji przyczynił się jeszcze czynnik polityczny, mianowicie demokratyzacja. Pod koniec XIX wieku i z początkiem XX wieku w większości państw europejskich wprowadzone zostaje demokratyczne prawo wyborcze; w następstwie tego masy robotnicze, chociaż złożone z jednostek gospodarczo słabych i zależnych, z powodu swej liczebności stają się potęgą polityczną. Wobec tego stronnictwa polityczne, przynajmniej niektóre, idą między masy robotnicze i organizują je — rzekomo dla obrony ich interesów gospodarczych. Wiadomo, że na jednostkę gospodarczo słabą — łatwo wywierać presję i trzymać ją w zależności; wiedząc o tem, stronnictwa polityczne, które zorganizowały gospodarczo robotników, wyzyskiwały tę zależność robotnika od organizacji, aby za pośrednictwem organizacji zawodowych robotniczych wywierać presję na rządy i parlamenty

w sprawach czysto politycznych, nie mających żadnego związku z interesami gospodarczymi robotników. Rządy niejednokrotnie próbowały zwalczać energicznie próby tego rodzaju terroru (np. energiczne stłumienie pochodu chartystów w Londynie), ale daleko częściej, licząc się ze znaczeniem politycznem mas i organizacji zawodowych robotniczych, ustępowały przed ich presją. Podobnie czynili i przedsiębiorcy przemysłowi, którzy, zagrożeni strajkami, zazwyczaj godzili się na żądaną przez robotników podwyżkę ich płac, ale zato starali się wynagrodzić sobie ten zwiększony wydatek przez uzyskanie wyższych ceł ochronnych, pozwalających na podwyższenie cen ich wytworów wenątrz kraju. Zestawienie podwyżki płac robotniczych z podwyżką ceł ochronnych w poszczególnych krajach europejskich w drugiej połowie XIX wieku i z początkiem XX wieku wykazuje, że po każdej podwyżce płac następowała znacznie od niej większa podwyżka stawek celnych; w rezultacie zatem przedsiębiorca z robotnikiem godził się kosztem konsumenta, który cierpiał skutkiem wzrastającej drożyzny. Przy wzrastającym dobrobycie przedwojennym i przy wielkich zyskach, czerpanych z eksportu do krajów pozaeuropejskich, drożyzna ta jeszcze nie tak bardzo dawała się we znaki konsumentowi; gdy jednak w czasie wojny i po wojnie nastąpiło gwałtowne zubożenie ludności i gdy wystąpiła inflacja, wówczas każdy strajk, pociągając za sobą pozorną podwyżkę płac, zwiększał równocześnie inflację i będącą jej następstwem deprecjację pieniądza; skutkiem znowu deprecjacji topniały i nikły kapitały, nagromadzone w ciągu długich lat oszczędności. W dodatku wiele krajów pozaeuropejskich w czasie wojny rozwinęło u siebie przemysł, a obok tego rozbudzony w tych krajach nacjonalizm głosił hasło bojkotu ekonomicznego państw europejskich, wyzyskujących kraje pozaeuropejskie przez eksport wyrobów przemysłowych, sprzedawanych w krajach pozaeuropejskich po wygórowanych cenach. W ten

sposób znaleźliśmy się w sytuacji ekonomicznej, niezmiernie trudnej.

Przyczyną tych powikłań był jeden błąd zasadniczy, mianowicie traktowanie pracy ludzkiej, jako towaru, kiedy w istocie tam, gdzie w grę wchodzi praca ludzka, rozchodzi się zawsze o byt człowieka. Z tych przyczyn — jak uczy nas historja prawa — praca ludzka tylko wyjątkowo bywała traktowana narówni z towarem; normalnym, typowym stosunkiem był natomiast taki stosunek prawny, że pracownik wchodził w skład pewnej organizacji i że z przynależności do tej organizacji wypływał dlań obowiązek pracy, ale, że też za to organizacja ta miała wzajemne obowiązki zaopiekowania się pracownikiem, niezależnie od tego, czy istotnie z jego pracy korzystała, czy też nie i to nawet w tym wypadku, gdy pracownik stał się do pracy niezdolnym. Tak było w państwie rzymskiem; niewolnik był członkiem organizacji rodzinnej (familja); z przynależności tej, z zależności niewolnika od władzy naczelnika rodziny (pater familias) wypływał obowiązek niewolnika do pracy według rozkazu naczelnika rodziny (t. j. jego pana), ale też naodwrót i pan miał pewne obowiązki względem niewolnika. Pierwotnie obowiązki pana względem niewolnika były oparte tylko na prawie boskiem (fas), a później także i na prawie ludzkiem (ius); cesarz Hadrjan zabronił panu bez powodu zabijać niewolnika (Gaius I, 53), a tem samem zmusił pana do żywienia niewolnika nawet wtedy, gdyby się stał niezdolnym do pracy; w myśl konstytucji cesarza Aleksandra Sewera (C 2, 18 c. 10) i const. Sirmond. 5, ten, kto zajmuje się niewolnikiem, opuszczonym przez pana, ma prawo do zwrotu poczynionych wydatków (C 2, 18 c. 10 została zmieniona w kodyfikacji Justyniańskiej). Zupełnie podobnie było i przy negotiorum gestio. Ta instytucja prawna, stworzona została pierwotnie celem unormowania stosunku prawnego między patronem, a jego wyzwoleńcem, który na rozkaz patrona zarządzał jego majątkiem. Otóż wyzwoleniec, skutkiem swej zależności od patrona, nie mógł

odmówić jego żądaniu, aby zajął się administracją jego majątku; odmowa taka byłaby traktowana jako objaw niewdzięczności i narażałaby wyzwoleńca na dotkliwe kary; bardzo często także pan, wyzwalając niewolnika, żądał od niego, aby zobowiązał się przez akt stypulacji do pełnienia pewnych usług (operae officiales). Te obowiązki wyzwoleńca nie były zależne od wynagrodzenia pieniężnego za pełnione posługi ,ale zato, gdy wyzwoleniec popadł w niedostatek, patron obowiązany był się nim zaopiekować. W prawie rzymskiem istniały tylko dwa typy stosunków prawnych, przy których obowiązek do pracy nie łączył się z przynależnością do pewnej organizacji, a zachodziło to przy mandatum (zleceniu) i przy najmie usług (locatio conductio operarum). Przy zleceniu jeden przyjaciel na prośbę drugiego z grzeczności zobowiązywał się do bezpłatnego załatwienia dlań pewnej sprawy; przy locatio conductio operarum proletarjusz, żyjący prawidłowo z rozdawnictwa zboża przez państwo i bawiący się na koszt państwa w cyrkach i teatrach (panem et circenses), celem uzyskania doraźnego jakiegoś zarobku, zobowiązywał się przez ten kontrakt do pełnienia pewnych nieukwalifikowanych usług (operae illiberales) na rzecz drugiego kontrahenta; w tym wypadku praca była istotnie traktowana jako towar, ale też nigdy nie była ona podstawą gospodarczej egzystencji pracownika. Pomimo zasadniczo odmiennej struktury prawniczej i społecznej średniowiecza, spotykamy przecież i tutaj tę samą myśl przewodnią, mianowicie, że obowiązek do pracy wypływa z przynależności do pewnej trwałej organizacji i że nadowrót przynależność do tej organizacji daje przynależnej jednostce ludzkiej stałe oparcie gospodarcze i zapewnia egzystencję niezależnie od konjunktury gospodarczej. Takie oparcie gospodarcze miał uczeń i czeladnik w organizacji cechowej. Gorszem od położenia czeladnika było położenie poddanego włościanina, obowiązanego do pańszczyzny, gdyż nie miał on widoków uzyskania samodzielności, które miał czeladnik, ale przecież i podda-

ny miał prawo do opieki i zasiłku ze strony pana patrymonjalnego w razie nieurodzaju, głodu; w razie pożaru pan patrymonjalny odbudowywał mu chatę, która stanowiła własność pańską i t. d.

Traktowanie pracy ludzkiej pod względem ekonomicznym na równi z towarem prowadzi nadto do poważnych trudności i komplikacji prawniczych; bardzo często pracodawca żąda i w interesie swej egzystencji musi żądać od pracownika, aby pracownik nawet po rozwiązaniu stosunku służbowego nie zdradzał tajemnicy przedsiębiorstwa, aby nie zakładał przedsiębiorstwa konkurencyjnego i t. d. Obowiązki takie byłyby najzupełniej uzasadnione, jako konsekwencja trwałej przynależności pracownika do pewnej organizacji, dającej mu nawzajem oparcie ekonomiczne; przy najmie usług, traktującym pracę ludzką na podobieństwo towaru, takie skrępowanie pracownika już po rozwiązaniu kontraktu najmu usług przedstawia się jako bardzo dotkliwe upośledzenie przyszłej zdolności zarobkowania u pracownika. Z tych powodów ustawodawstwo i judykatura starają się w jakiś kompromisowy sposób pogodzić te kolidujące z sobą postulaty, ale usiłowania te skazane są zgóry na niepowodzenie, gdyż usiłują pogodzić z sobą dwie konstrukcje zasadniczo sprzeczne.

To też umysł ludzki, walcząc z temi wszystkiemi trudnościami, wraca do dawnej myśli, stworzenia trwałej organizacji, którąby wspomnianym niedomaganiom zapobiegła i robotnikowi zapewniła oparcie ekonomiczne, niezależne od chwilowej konjunktury na rynku pracy. Myślą taką jest idea korporacyjna. Zgodnie z dzisiejszemi aspiracjami klasy robotniczej i zgodnie z poczuciem znaczenia politycznego tej klasy, organizacja ta musi dawać pracownikom stanowisko równorzędne z przedsiębiorcami, ale zarazem musi unormować współdziałanie tych dwóch czynników produkcji w imię wspólności interesów, a w szczególności w imię wyższego, ponadklasowego interesu, t. j. za-

pewnienia normalnego toku produkcji. Nie wolno przytem pracownikom i przedsiębiorcom łączyć się — jak to niejednokrotnie dotychczas bywało — celem wyzysku konsumenta, dokonywanego przez podbijanie cen wyrobów bez oglądania się na siłę gospodarczą konsumenta. Organizacja korporacyjna musi również liczyć się odpowiedzialnością i z ryzykiem, które ponosi przedsiębiorca i dlatego musi pozostawić przedsiębiorcy swobodę doboru odpowiednich pracowników i nie może przyczynić się do osłabienia dyscypliny w przedsiębiorstwie. Do wprowadzenia w życie tej idei potrzeba ludzi, którzyby wśród sprzecznych interesów umieli znaleźć drogę właściwą, podyktowaną interesem ogólno-społecznym i zasadami sprawiedliwości, a z tej drogi nie dali się odwieść żadnym naciskiem, bez względu na to, czy od jednej, czy od drugiej strony będzie on wychodził. Dzieło to trudne; ale ono może uzdrowić obecne stosunki i dlatego pracownikom na tej niwie należy się szczerze serdeczne „Szczęść Boże"!

Przemówił następnie mecenas dr. Dziembowski.

„Ustrój państw znajduje się w stadjum przełomowem. Wszyscy to odczuwamy, wszyscy sobie z tego zdajemy sprawę i wszyscy powinni być przeświadczeni o tem, że właśnie na sferach inteligencji ciąży zadanie przyłożenia ręki do rozwiązania tego zagadnienia. Jeżeli stać będziemy bezczynnie w oczekiwaniu wypadków lub też pozostawimy rozwiązanie zagadnień ustrojowych wyłącznie kierownikom nawy państwowej, to wówczas zachodzi obawa, że rozwiązanie tej kwestji nabierze cech etatyzmu, a może nawet niewoli społecznej — jak to widzimy w większym lub mniejszym stopniu na wzorach włoskich lub niemieckich. Ruch ten powinien być raczej wynikiem swobodnej ewolucji, płynącej z wymagań życia i z głębszego przekonania, powinien być jednem słowem prądem od dołu, a inteligencja polska powołaną jest w pierwszym rzędzie do pracy nad rozwiązaniem tego zagadnienia, które wysuwa się mimowoli na

pierwszy plan zadań o charakterze ogólnej użyteczności państwowej.

Gdy spojrzymy wstecz i na chwilę zastanowimy się nad ewolucją poglądów na problem ustroju państwa, to widzimy, jak panujący w średnich wiekach prawie wyłącznie monarchizm absolutny, którego personifikacją był jakoby Ludwik XIV ze swem powiedzeniem: l'état c'est moi, przechodzi w stan kryzysu lub przełomu na skutek myślicieli, poprzedzających wielką rewolucję. Przez dziesiątki lat, mimo krwawej rewolucji, zagadnienia ustroju nie mogły znaleźć właściwej formy, aż wreszcie ustala się monarchia konstytucyjna, oparta na współudziale woli ludu, a wreszcie przeistacza się w ustrój republikański przy udziale w rządach ciał ustawodawczych. Ten ustrój, zwany także erą liberalizmu, doznał w czasie lat spaczenia przez zbytnią wybujałość partji politycznych, które zaczęły stawiać interes stronnictw nad interes państwa. Na tem podłożu powstał kryzys państwowości, który obecnie przeżywamy i do którego rozwiązania powinniśmy przyłożyć ręki.

Na tle tego przełomu starano się w kilku państwach rozwiązać zagadnienie w ten sposób, że wpadano z iednego ekstremu w drugi. Stwierdziwszy, że władza wykonawcza w stosunku do ciał ustawodawczych jest zbyt słabą, dążono do wzmocnienia takiego władzy wykonawczej, iż w wielu przypadkach doprowadziło to do dyktatury przy zupełnem wyeliminowaniu ogółu obywateli państwa od kontroli nd rządami i losami państwa. Takie okresy w życiu narodów mogą mieć tylko charakter przemijający. Historja uczy nas, że dyktatury nie mogą być czemś trwałem. Owszem, w okresach przejściowych mogą one państwom oddać nieocenione usługi, lecz powinny one dążyć do przekazania swej władzy w ręce czynników, przy których ogół obywateli będzie mógł brać udział w rządach i stanowieniu o losach państwa.

Te rozważania — zbyt długie może — wprowadzają nas już in medias res. Słusznie zaznaczono, iż, według roz-

powszechniającego się już dziś poglądu, uchwalana obecnie konstytucja polska jest dopiero pierwszym etapem w dążeniu naszego społeczeństwa do skonstruowania sobie właściwego ustroju. Jaką treść miałby mieć ten ustrój, rozważać będziemy rozpatrując problem korporacjonizmu, stanowiący temat dzisiejszego wieczoru dyskusyjnego.

Na wstępie naszych rozważań nie mogę pominąć głosu, który podniósł w tej sprawie z wyżyn stolicy apostolskiej w swej wielkiej encyklice społecznej O. św. Pius XI, zwracając się do całego świata katolickiego z apelem, iż wszyscy mężowie stanu i światli obywatele winni dążyć do tego, aby stworzyć ustrój wolny od walki klasowej i wznieść się do zgodnej spółpracy poszczególnych stanów. W tych słowach, wyjętych z encykliki Quadragesimo anno, podniesiona jest zasadnicza wada obecnego ustroju oraz wskazano, jak te niedomagania należy usunąć.

W dotychczasowym ustroju walczyły z sobą klasy, grupujące się dookoła rynku pracy, a antagonizm ten coraz bardziej przenosił się na ustrój polityczny, gdyż klasy starały się opanować partje polityczne, aby wytworzyć sobie instrument, podatny do przeprowadzenia walk na terenie parlamentarnym.

Podstawą zatem uzdrowienia obecnych stosunków powinno być wyłączenie tego antagonizmu. Społeczeństwa, które się grupowały dotąd dookoła rynku pracy, należy przeszeregować na zupełnie innych podstawach. Tą nową organizacją ma być ustrój stanowo - zawodowy, czyli tak zwany ustrój korporacyjny. Stanów tych nie można porównywać z ustrojem stanowym średniowiecza, który z ustrojem korporacyjnym XX wieku nic nie ma wspólnego. Korporacje nowoczesne raczej mają stanowić części organizmu społecznego, które nie powinny się dzielić na grupy wedle swej przynależności do jednej lub drugiej partji na rynku pracy, lecz powinny być zorganizowane z uwagi na czynności społeczne, które poszczególny zawód wykonuje. Nacisk należy zatem położyć na to, aby wszyscy, wykony-

wujący jeden zawód, a więc np. rolnicy, tworzyli jedną zwartą grupę stanową, nie dzielili się — jak dotąd — na rolników - pracodawców i rolników - pracobiorców. W ten sposób wyeliminuje się antagonizm klasowy, który musiał powstać przy skupieniu się pracobiorców w walce o rynek pracy z pracodawcami.

W każdym zawodzie istnieje, jak dobrze wiemy, różnorodność, jest ona jednakże skierowaną w kierunku tej samej gałęzi wytwórczości. Przeświadczenie, że wszyscy dążą do udoskonalenia danej dziedziny gospodarczej, powinno stanowić łącznik, który powinien wszystkie siły, działające w danej grupie zawodowej, łączyć, a nie dzielić. Tak więc wszyscy członkowie korporacji rolniczej n. p. winni dążyć we wspólnym wysiłku do osiągnięcia dobra powszechnego, a wzajemne przeciwieństwa należałoby rozpatrywać i wyrównywać w ramach organizacyjnych danej korporacji z tem, że na zewnątrz ujawnioną byłaby już tylko zgodna opinja całego zrzeszenia stanowo-zawodowego.

Zapoznawając się z ustrojem korporacyjnym, powinniśmy usunąć pewne nieporozumienia. Nieraz w istniejących już w Polsce organizacjach zawodowych, jak izbach przemysłowo - handlowych, izbach rzemieślniczych, adwokackich, lekarskich i t. d. upatruje się początek ustroju korporacyjnego. Organizacje te nie mogą być jednak korporacjami w tem znaczeniu, jak je pojmuje ustrój państwowy przyszłości. Są to bowiem organizacje klasowe, które łączą w swem gronie tylko pracodawców, a zatem są właśnie organizacją, opartą na przeciwieństwach klasowych, które w korporacjoniźmie przyszłości mają być wyeliminowane. Tak samo należy ustrój stanowy ściśle odgraniczyć od tak zwanego syndykalizmu, który opiera się na związkach zawodowych, jednoczących tylko pracobiorców. Projektowane zatem izby pracy, jako przymusowe organizacje, wyposażone w osobowość prywatno-prawną, oddaliłyby nas raczej od zrealizowania ustroju korporacyjnego, gdyż izby te sankcjonowa-

łyby jeszcze bardziej przeciwieństwa klasowe, których usunięcie jest kardynalnem zadaniem ustroju korporacyjnego.

Do danej korporacji powinni zatem należeć wszyscy, którzy do niej przynależą z racji wykonywania tego samego zawodu i to bez względu na stanowisko społeczne, które w grupie stanowo - zawodowej zajmują. Jak jednak wewnątrz korporacji, n. p. rolniczej i przemysłowej, zorganizować ją, by wyeliminować walkę klasową, a także przegłosowywanie lub pogwałcenie mniejszości przez większość, skoro w jednej korporacji zasiadać będą pracodawcy obok przygniatającej większości pracobiorców? Jest to niewątpliwie problem niesłychanie trudny do rozwiązania. Lecz rozwiązanie tego zagadnienia jest już więcej natury technicznej. Tak samo trudno będzie rozwiązać problem ordynacji wyborczej w odniesieniu do uchwalanej konstytucji. Bliższe rozpatrywanie tego zagadnienia mogłoby stanowić temat do osobnego referatu, a tutaj ograniczę się tylko do wypowiedzenia mego zapatrywania, że poszczególne grupy mogłyby w ramach organizacyjnych głosować wpierw oddzielnie, a następnie możnaby przeprowadzać wspólne uchwały.

Również już tylko technicznym szczegółem jest podział społeczeństwa na korporacje oraz ich ilość. Konstytucja austrjacka z 1. 5. 34 r. ma ich siedem: rolnictwo oraz leśnictwo, przemysł i górnictwo, rzemiosło, handel i komunikacja, wolne zawody i wreszcie służba publiczna (der öffentliche Dienst). Korporacjonizm faszystowski ma nieco więcej korporacji, lecz i ta kwestja w Italji jest jeszcze płynną i uległa już kilkakrotnie zmianom.

Poszczególne korporacje powinny łączyć się następnie w Radzie Korporacyjnej, która dla państwa może być władzą opinjodawczą, a ewentualnie wyposażoną być może także we władzę ustawodawczą w ten sposób, że Rada Korporacyjna do ciał ustawodawczych deleguje swych przedstawicieli, jak to przewiduje konstytucja austrjacka, bądź

też prezentuje kandydatów do ciał ustawodawczych, jak to postanawia organizacja korporacyjna faszystowska.

Jakie zalety ma ustrój korporacyjny i czy będzie on lepszy od ustrojów konstytucyjnych ery liberalizmu? Otóż niewątpliwie usunie on ostrze walk klasowych. W poszczególnych korporacjach oraz w ich organizacjach związkowych, które nazwałem Radą Korporacyjną, ścierać się będą przeciwne zapatrywania i konieczności, ale z natury rzeczy poszczególni członkowie nauczą się patrzeć na sprawy, dotyczące ich zawodu, pod szerszym kątem widzenia, a mianowicie dobra ogółu danej grupy zawodowo - stanowej. W tem większej mierze dobrem ogółu już nie danej grupy zawodowej, lecz całego państwa, przepojone będą uchwały Rady Korporacyjnej, które w całem znaczeniu tego słowa będą miały na oku przedewszystkiem dobro powszechne państwa. W ścisłem oparciu ciał ustawodawczych o ustrój korporacyjny praca legislatywna opartą będzie znacznie więcej o element fachowy, niż to miało miejsce w dotychczasowych parlamentach, gdzie pod panowaniem systemu partyjnictwa o przynależności do ciał ustawodawczych decydowały zapatrywania względnie zasługi polityczne. Śmiem twierdzić, że ustrój korporacyjny powinien usprawnić naszą maszynę ustawodawczą i dostosować w większej mierze, niż dotąd, prawodawstwo do potrzeb ogółu społeczeństwa.

Na zakończenie swoich wywodów pragnę znowu powrócić do wspomnianej już encykliki Quadragesimo anno i podkreślić, że słusznie Ojciec Święty Pius XI. zaznacza, iż zrealizowanie naprawy ustroju gospodarczego zależne jest od uprzedniego odrodzenia moralnego. Pod odrodzeniem moralnem należy rozumieć, aby tak mężowie stanu, jak i obywatele państwa przejęli się zasadami sprawiedliwości społecznej i prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Dopiero w łączności z odrodzeniem moralnem ustrój korporacyjny da należyte wyniki oraz przynieść powinien ukojenie ludzkości w trudnościach, które je obecnie gnębią".

Prof. Górski, nawiązując w ogólnym zarysie do poprzednich mówców, przedstawił w objaśniającym referacie tezy, uchwalone niedawno przez Radę Społeczną, powołaną do życia przez ks. Prymasa Polski. Tezy te brzmią, jak następuje:

„Ograniczenie przebudowy społecznej tylko do przebudowy robotniczych związków zawodowych nie jest rozwiązaniem zagadnienia. Przebudowa bowiem powinna objąć wszystkie ugrupowania gospodarczo - społeczne.

Na podstawie wykonywania tej samej lub podobnej pracy tworzą się w obrębie społeczeństwa naturalne stosunki wspólnoty i ich pewnej odrębności od innych, stosunki współpracy i współzawodnictwa, wzajemnej zależności i podporządkowania. Tak powstaje naturalna grupa społeczna, stan zawodowy, obejmujący robotników, pracowników i pracodawców.

Tej faktycznej wspólnocie interesów zawodowych należy dać formę prawną, gdyż inaczej nie zapewni się porządku i ładu społecznego. Korporacja jest formą prawną stanu zawodowego. Nie spełni ona swego zadania, jeśli nie obejmie wszystkich tych, którzy wykonują dany zawód, jak gmina obejmuje wszystkich mieszkańców danego okręgu.

Korporację należy uznać z natury rzeczy za instytucję prawa publicznego. Korporacyjna władza, sprawując ogólny zarząd stanem zawodowym, powinna w szczególności posiadać uprawnienia, upoważniające ją do załatwiania zatargów wewnętrznych, do ogłaszania odpowiednich regulaminów, do organizowania szkolnictwa zawodowego, sprawowania poradnictwa zawodowego, pośrednictwa pracy i t. d. Nadzór nad działalnością autonomicznej korporacji należy do państwa.

Rolę korporacji w Polsce mogłyby objąć izby zawodowe, będące dziś w stadjum tworzenia się. Wpierw jednak ich ustrój powinien ulec zmianie w tym kierunku, by izby te były reprezentacjami całych zawodów.

Oparcie stosunków społeczno - gospodarczych i prawnych na walce klasowej sprzeciwia się naturze społecznego współżycia, w szczególności normie sprawiedliwości i miłości; jest nieustannem źródłem niestałości i wstrząsów społecznego współżycia.

Organizacja klasy robotniczej w ramach organizacji stanu zawodowego, czyli w ramach organizacji korporacyjnej, może przybierać różne formy. System jednego związku zawodowego o charakterze monopolistycznym dla wszystkich pracowników jest szkodliwym. Grozi on bowiem zniszczeniem dotychczasowego dorobku organizacyjnego, który jest dodatni, mimo wad, niedociągnięć, a nawet niekiedy szkodliwych przejawów działalności związków zawodowych, może prowadzić, ze względu na rozbicie ideowe warstwy zarobkującej, do ucisku przekonań i sumienia oraz laicyzacji organizacji tej warstwy. Stwarza biurokrację i osłabia energję zwłaszcza warstwy zarobkującej. Jedynie słusznym jest system, pozostawiający robotnikom swobodę organizacji związków zawodowych, zgodnie z zasadą, że prawo przyrodzone daje człowiekowi swobodę zrzeszenia się w granicach dobra powszechnego. Ten system wolnego związku zawodowego w obrębie zorganizowanego zawodu, obok innych korzyści, wynikających z wolności zrzeszenia się, daje związkom możność ochrony odrębnych interesów pracowników zgodnie z normami moralności katolickiej.

Zastrzeżenia budzą więc reformy wprowadzone przez kilka państw Europy, polegające na monopolizacji organizacji zawodowej i uczynieniu z niej narzędzia politycznego w rękach rządu. Reformy te nie wydają się być najlepszym sposobem sharmonizowania trzech współczynników, wchodzących w grę: jednostki, społeczeństwa i państwa. Naturalne prawo jednostki do zrzeszenia się czynią one prawie iluzorycznem, odbierają swobodę ruchów społeczeństwu na tak ważnym odcinku życia zbiorowego, jak życie gospodarcze, które w dodatku poddają fluktacjom nastrojów po-

litycznych, zmieniających się ciągle w kołach rządowych. Na państwo znaczne nakładają obowiązki, których ono w normalnych warunkach spełnić nie zdoła.

Z samej istoty organizacji zawodowej i korporacyjnei wynika, że w niej mogą się mieścić tylko te związki, które nie stoją na gruncie walki klasowej i które nie odrzucają zasadniczo porozumienia między klasami.

Ustrój, oparty o korporacyjną organizację zawodów, zmierza do nadania społeczeństwu cech jednolitego organizmu społecznego, a to przez przezwyciężenie różnic klasowych i ugruntowanie spójni, łączącej ludzi z tego samego zawodu. Cel ten moralny zostanie osiągnięty pod warunkiem, że się zwolna dokona odrodzenie chrześcijańskich obyczajów i że się nowy ustrój oprze na instytucjach, wprost z chrześcijańskiego ducha wyrosłych."

W otwartej ogólnej dyskusji wygłosił dłuższe przemówienie redaktor Józef Czarnecki.

„Bohater sztuki sowieckiego pisarza, Katajewa, p. t. „Kwiecista droga" wygłasza odczyt o przyszłym ustroju ludzkości. Przyrównywuje go do lasu, prawidłowo zagospodarowanego, uregulowanego przesiekami, przetrzebianego w miarę wzrostu. Każde drzewo w tym lesie ma dostęp do słońca i powietrza, pławi się w niem, a korzeniami ciągnie „ile dusza pragnie" soki z pulchnej, płodnej, soczystej ziemi. Piękny ten ideał dziwacznie brzmi w ustach przedstawiciela doktryny i polityki, która społeczeństwo urządziła coprawda nakształt lasu, ale lasu ściętego, wyrąbanego, ułożonego pokotem w sągi, pod jeden łokieć i przeznaczonego na wywózkę.

Aż dziw bierze, że ten odczyt bolszewickiego idealisty nie został skonfiskowany przez sowiecką cenzurę. Ale mniejsza o to niedopatrzenie cenzury. Jeśli chodzi natomiast o sam obraz przyszłej ludzkości, to właśnie jest w nim zawarte to, co my obejmujemy pojęciem ustroju korporacyjnego.

Ustrojowi, opartemu o podział mechaniczny, na podobieństwo drzewa w sążniach, korporacjonizm przeciwstawia ustrój organiczny, oparty na naturalnych tendencjach rozwojowych. Układowi poziomemu warstw i klas społecznych, układowi martwych „nastawień geologicznych" masy społecznej, żywą strukturę pionową żyjącego organizmu moralnego społeczeństwa.

Społeczeństwo jest bowiem organizmem, ale nie w sensie biologizmu socjologicznego Spencera i Schäfflego. Jest organizmem moralnym, a nie mechanicznym zbiorem jednostek. Dobro społeczne nie jest zaś prostą sumą dóbr indywidualnych. U św. Tomasza znajdujemy bardzo wymowne wyjaśnienie tego faktu w formie szeregu przykładów. Mówi on np., że żołnierz ma dwa zakresy czynności. Jedne są jego własne, prywatne, drugie ogólne, gdy w szeregu wojskowym występuje do walki (Ethic. I, 1). Oczywiście nie będzie mógł spełnić należycie swych czynności wojskowych, jeżeli nie będzie miał swobody w swych czynnościach prywatnych, jeśli więc nie będzie należycie się odżywiał, ćwiczył i t. p.

Z natury człowieka i świata wynika pewien przyrodzony porządek społeczny i ekonomiczny, w którym można wyróżnić szereg praw (Antoine. Cours 219). Ze stanowiska katolickiego, ma się rozumieć, nie można mówić o jakimś determiniźmie praw ekonomicznych. Ekonomja nie jest fizyką społeczną. Stopień stałości i pewności praw ekonomicznych jest różny od stopnia praw fizycznych i geometrycznych (B. Missiaen 343).

W ekonomice działają trzy rodzaje praw: moralne obowiązujące, moralne kierownicze, i fizyczne. Prawa ekonomiczne w swym całokształcie mają więc poniekąd hipotetyczny charakter; dałoby się je nazwać nietyle prawami, co możliwościami. Wynika to przedewszystkiem z wejścia w grę czynnika dość nieobliczalnego, jakim jest wola ludzka, a dalej z działania norm etycznych, które razem regu-

lują dopiero wpływ praw ekonomicznych, nadając im charakter warunkowy. Tak więc — dla przykładu — prawo największego zysku przy najmniejszym koszcie musi być korygowane, jeśli chodzi o koszta robocizny, względem humanitarnym na minimum, niezbędne do utrzymania robotnika nawet wraz z jego rodziną (t. zw. płaca rodzinna). Zasady etyczne dają dopiero właściwe kryterjum wartościowania praw ekonomicznych. Życie gospodarcze jest bowiem funkcją społecznego organizmu moralnego, którego istnienie i rozwój nie są li tylko dziełem samych czynników bio-socjologicznych. Potwierdzenie tego znajdujemy zresztą w historji ludzkości i jej gospodarki. Tam wszędzie, gdzie poprzestawano tylko na samych normach mechano-społecznych, następował upadek. Społeczeństwo ulegało rozkładowi nietylko moralnemu, ale i uwiądowi samego rdzenia bio-socjalnego.

Wobec tego ekonomja w naszem zrozumieniu nietylko ustala to, co jest, ale i to, co być powinno. Polityka zaś gospodarcza winna realizować tak pojęte i ustalone zasady ekonomji (Cathrein. Moralphilosophie).

Takie zdrowe powiązanie norm etycznych ze ściśle gospodarczemi daje się osiągnąć jedynie w korporacjoniźmie.

Katolicka doktryna i praktyka korporacyjna rozwija się równolegle do ruchów socjalnych, opartych o światopogląd materjalistyczny i mechanistyczny. Pierwowzór jej znajdziemy w korporacjach, ustanowionych jeszcze przez Piusa IX w 1852 r., w państwie kościelnem. Jest to jakby epoka romantyczna nowej ideologji, której prekursorami są tacy idealiści chrześcijańscy, jak de Maistre.

Korporacjonizm rozwija się w różnych krajach europejskich, jak Francja i Niemcy. W tych ostatnich jego propagatorami są Ketteler i Windhorst. Ten ostatni przechodzi zresztą do praktyki społecznej, opartej na pewnej doraźności, bez sięgania do przebudowy ustroju.

Ketteler głosi, że stanowo - korporacyjna organizacja

jest wyrazem prawa naturalnego, w myśl którego poszczególne człony zawodowe organizmu społecznego korzystają z wolności, winny jednak być skoordynowane wzajemnie między sobą. Słowem, musi to być wolność zorganizowana. Osiąga się ją w samorządzie stanowym, normowanym i kontrolowanym przez państwo (Götz. Briefe 213).

W korporacyjnym ruchu niemieckim powoli odpada jednak element stanowy, a jako podstawa organizacyjna zostaje podkreślony zawód. Wymogi życia bieżącego sprawiły, że niemieccy katolicy społeczni ideję korporacjonizmu odłożyli na plan dalszy, zadawalając się chwilowo konjunkturalną polityką socjalną, polityką t. zw. opieki społecznej.

W każdym bądź razie katolicy socjalni przyczynili się znacznie do rozwoju doktryny korporacyjnej, dali jej głębsze podłoże naukowe.

Czemże jest — zapytajmy — korporacja zawodowa?

Zawód, podobnie, jak rodzina czy państwo, ma swe uzasadnienie w naturze człowieka. Potwierdzenie tego poglądu znaleźć możemy i w ostatniej Encyklice Qu. Anno. Korporacja zawodowa zaś — wg. Belliot'a — jest to harmonijna grupa wszystkich czynników, współpracujących w produkcji i tworzących dany zawód, podobnie, jak drzewo tworzą zarówno korzeń, jak pień, gałęzie i liście. Na tem polega właśnie organiczne podejście do kwestji. Socjalizm natomiast podchodzi ze stanowiska mechanicznego, wydzielając z całości organicznej danego zawodu wyłącznie robotników i odcinając ich od pnia jedności zawodowej. Drzewo z poobcinanemi gałęziami i korzeniami nie jest już drzewem w sensie biologicznym, żadna też z jego części nie może uchodzić za drzewo, zdolne do samodzielnego rozwoju.

Korporacja — powiada G. de Pascal — jest to zorganizowana grupa związków zawodowych tego samego stopnia: grupa grup. Tworzy ona — jak mówi Encyklika — rodzinę zawodową. Przytem państwo nie może rozkazać

jej prawnej organizacji, ani też nie powinno spełniać i przejmować tych zadań, które korporacja może wykonać (Enc. o odn. ustroju, 50 i 58).

Korporacja—przytoczymy raz jeszcze G. de Pascala— jest to „forma organizacji społeczeństwa, która ma u podstawy grupy ludzi wg. wspólnoty ich interesów naturalnych i funkcji społecznych, a za niezbędne ukoronowanie reprezentację publiczną i odrębną tych rozmaitych ugrupowań“ (4). Ustrój stanowy — propagowany przez katolików niemieckich — ma za podstawę większą grupę ludzi o tej samej pozycji i funkcji społecznej. W liczbie stanów znajduje się też stan ściśle gospodarczy, oparty o zorganizowane zawody.

W podejściu do zagadnienia korporacyjnego raz spotykamy się z większym naciskiem na stronę zawodową, ekonomiczną, drugi raz społeczną, stanową. W każdym bądź razie poczytywanie korporacjonizmu za ruch zawodowy, w wązkiem tego słowa znaczeniu, jest spaczaniem całej koncepcji.

Korporacjonizm ma założenia i cele bardzo szerokie.

Słusznie zauważa Sombart, że ustrój stanowo - korporacyjny jest wynikiem uniwersalizmu chrześcijańskiego i złączony jest ściśle ze scholastyczną myślą społeczną. Istotnie, u jego podstaw znajdziemy pierwiastki filozofji arystotelesowsko - tomistycznej.

Przechodząc od fundamentów ideowych do zagadnień ściśle organizacyjnych, należy zauważyć w kwestji struktury korporacji, co następuje: 1) ogarniają one poszczególne dziedziny zawodowe na danym terenie, 2) opierają się na jedności zawodowej, obejmującej interesy wszystkich czynników danego zawodu w związku z dobrem publicznem, a temsamem pojęciu walki klas przeciwstawiają pojęcie solidaryzmu i współdziałania pracy i kapitłu, 3) reglamentują zawodowców, produkcją się nie zajmując, 4) uznają indywidualne warsztaty i zasadę własności prywatnej, 5) podlegają kontroli i nadzorowi ze strony państwa, 6) wiążą się według

pokrewnych cech w instytucję wyższego rzędu — w stan społeczny (stan rolniczy, stan przemysłowy, stan kupiecki etc.), 7) zarządzane są przez izby zawodowe, normujące sprawy szczegółowe swego zawodu i łączące w tym celu zarówno pracowników, jak i pracodawców, posiadających oddzielne związki, zrzeszone jednak w izbie swego zawodu, 8) podlegają Naczelnej Izbie Gospodarczej, regulującej sprawy zawodowe ogólnego dobra, rozstrzygającej spory, wpływającej na całokształt polityki społeczno - ekonomicznej państwa.

Istnieją jednak różne warjanty tej koncepcji, nie mówiąc już o różnorakich koncepcjach rozwiązania poszczególnych zadań korporacji.

Tak więc syndykalizm Sorela i gildyzm Cole'a znoszą własność prywatną i dążą do objęcia produkcji. Mówiąc nawiasem, ten właśnie rodzaj korporacjonizmu, podjęty w Anglji, a potem w Holandji, załamał się i chyli się do upadku.

Zwolennikiem syndykalizmu jest także Paul Boncour. Głosi on potrzebę tworzenia syndykatów klasowych, z których tworzy dopiero korporacje, o szerokich kompetencjach. Działalność tych korporacji koordynuje państwo.

Szkoła socjologiczna O. Spanna wysuwa znów na czoło moment stanowy. Nawet państwo jest tylko jednym ze stanów. Z tej szkoły wywodzi się cały szereg socjologów: W. Heinrich, W. Longart, Fr. Everling hitlerowiec. Wśród niemieckich teoretyków wymienić należy też Plancka.

Pozatem mamy jeszcze parę odmian korporacjonizmu, podkreślających i wysuwających na czoło państwo.

Szkoła ekonomiczna Valois, pod urokiem postępu nauki, czyni z państwa naczelną władzę techniczno - ekonomiczną. Uspołecznienie produkcji jest dalszą konsekwencją jej założeń.

Szkoła włoska, pod wpływem nacjonalizmu, stwarza korporacjonizm: 1) organiczno - nacjonalny, 2) zetatyzowa-

ny (korporacje są nieomal organami administracji), 3) oparty jednak o własność prywatną, 4) subordynowany całkowicie państwu.

Owszem, państwo, jako czynnik nadrzędny, kontrolny, wlewa korporacjonizmowi hormon trwałości, jednak etatyzacja korporacji jest przeciwna duchowi całej instytucji, która przecież ma być s a m o r z ą d e m gospodarczym społeczeństwa, a nie organem państwa. Błędne jest także nakładanie na państwo funkcji ekonomicznych.

Oczywiście, broniąc się przed etatyzmem, nie należy popełniać tego błędu, by popadając w drugą krańcowość, całkowicie oderwać korporacje od związku z państwem. Korporacyjny ustrój ma być samorzutną organizacją społeczną, ale tem nie mniej musi mieć charakter obligatoryjny, musi obowiązywać. Powagi obowiązywania może mu dostarczyć tylko państwo. Toteż, choć Mussolini powiada, że życie ekonomiczne społeczeństwa musi być regulowane z góry, słuszność ma Roosevelt, gdy mówi, że należy mu się wolność samorzutnej organizacji, kontrolowanej przez państwo.

Wiemy, że na czele korporacji ma stać Naczelna Izba Gospodarcza, w katolickim kodeksie socjalnym zwana znów Narodową Radą Gospodarczą. Jedni chcą w niej widzieć ciało doradcze przy parlamencie. Inni izbę wyższą, równouprawnioną z niższą i wyłonioną w drodze wyborów pluralnych. Jej kompetencje dotyczyłyby spraw zawodowych ogólnego dobra (czas pracy, wiek zatrudnienia, ubezpieczenia).

W polskiej konstytucji spotykamy się już z terminem Najwyższa Izba Gospodarcza. W szczęśliwym momencie zainspirowano ją jedną z przesłanek korporacjonizmu, a z tego faktu wysnuć należy zwolennikom jego pewne konsekwencje i przystąpić do dalszej realizacji swoich założeń. W tej chwili jesteśmy przecież w środku prac nad konstytucją, pozostaje zwłaszcza otwarta sprawa ordynacji wy-

borczej. A przecież właśnie przez odpowiednie ujęcie tej ordynacji możnaby już w pewnej formie wprowadzić ustrój korporacyjny w życie. Nie będziemy się zresztą nad tem dłużej tu zastanawiali, gdyż sprawa wymaga oddzielnego, obszernego potraktowania. Akcentujemy jedynie aktualność kwestji.

Zkolei wypadnie nam wspomnieć o niektórych próbach wprowadzenia w życie ustroju korporacyjnego. Nie są one wcale odosobnione. Ustrój korporacyjny wprowadzono w kolejności następującej: w Hiszpanji, Włoszech, Austrji, Niemczech. Projektuje wprowadzić go Jugosławja i Portugalja. Reformy amerykańskie Roosevelta są właściwie także przygotowaniem do korporacjonizmu. Najlepszym tego dowodem jest, że w senacie amerykańskim raz poraz w dyskusji bywają cytowane społeczne encykliki katolickie. W południowej Ameryce sądy bardzo często wydają wyroki, w uzasadnieniu powołujące się również na encyklikę Rerum Novarum.

W Hiszpanji zaprowadzono korporacjonizm w r. 1926. Gospodarkę podzielono na 27 korporacji. Po ogłoszeniu dekretu zaczął się zupełnie samorzutny ruch, tak, że w roku 1928 powstało 460 komitetów parytetowych, obejmujących 100.000 przedsiębiorstw i 340.000 robotników. Dalszych 250 komitetów było w organizacji. Rewolucja zahamowała na jakiś czas cały proces, obecnie jednak ma on całkowitą możność dalszego rozwoju. Dość powiedzieć, że partja katolicka Gil Roblesa, licząca 56 posłów i posiadająca trzech ministrów w rządzie, postawiła sobie za wyłączny cel przebudowę ustroju. W Austrji zaprowadzono korporacjonizm konstytucją z dnia 1 maja 1934 roku. Stworzono siedem grup korporacji: 1) rolnictwo i leśnictwo, 2) przemysł i górnictwo, 3) rzemiosło, 4) handel i komunikacja, 5) finanse, kredyt i ubezpieczenia, 6) wolne zawody, 7) służba publiczna. Korporacje wybierają delegatów zarówno do ciał opinjodawczych, jak i ustawodawczych. Rzą-

dowi przysługuje prawo zatwierdzania delegatów do ciał opinjodawczych.

We Włoszech do korporacjonizmu przygotowywano się oddawna. Mussolini, uczeń Sorela, wychowany na doktrynie syndykalizmu, zaczął od jego realizacji. W dalszym ciągu przeszedł do korporacjonizmu, w którym jednak pozostały wyraźne ślady syndykalistyczne.

Włoska ustawa o korporacjach wprowadza ich aż 22 (niema jednak rzemiosła).

Korporacje formowane są wedle kryterjów produkcyjnych, przyczem o zasadzie podziału decyduje naogół cykl produkcyjny: a) grupa korporacyj o cyklu produkcyjnym rolniczym, przemysłowym i handlowym, b) grupa korporacyj o cyklu produkcyjnym przemysłowym i handlowym, c) grupa korporacyj produkujących usługi.

Do pierwszej grupy zaliczono 8 korporacyj, obejmujących następujące działy: 1) zboże, 2) warzywnictwo i ogrodnictwo, 3) wino, 4) oleje, 5) produkcja cukru, 6) hodowla zwierząt i rybołóstwo, 7) drzewo, 8) włókiennictwo.

Do drugiej grupy należy 8 korporacyj, obejmujących: 1) metalurgję i mechanikę, 2) przemysł chemiczny, 3) przemysł odzieżowy, 4) papier i druk, 5) budownictwo, 6) gaz, wodociągi i elektryczność, 7) kopalnie, 8) szkło i ceramika.

W skład trzeciej grupy wchodzi 6 korporacyj: 1) ubezpieczenie i kredyt, 2) zawody wolne i sztuki piękne, 3) komunikacja morska i powietrzna, 4) komunikacja wewnętrzna, 5) przedstawienia i spektakle, 6) hotele, zdrojowiska i turystyka.

Organizacja administracyjna każdej korporacji będzie uzależniona od rządu; przewodniczącego każdej korporacji wyznacza prezydent ministrów, jego zastępcę mianuje sekretarz partji faszystowskiej. Prócz tego rząd będzie miał prawo wyznaczania poszczególnych delegatów administracyjnych, celem kontroli i współpracy.

W radach korporacyjnych zasiadają w równej mierze

przedstawiciele pracodawców i pracobiorców oraz rzeczoznawcy, technicy i przedstawiciele kooperatyw, należących do danej korporacji. Ponadto do każdej korporacji należy 3 przedstawicieli partji faszystowskiej.

Przypominamy, że włoski ustrój gospodarczy opiera się dotychczas na 13 syndykatach, które grupowały z jednej strony pracodawców, z drugiej zaś pracobiorców. Odrębną strukturę posiadała natomiast t. zw. Rada Narodowa Korporacyj (organ o charakterze nadrzędnym, utworzony w r. 1930). Jej sekcje w liczbie 7 składały się zarówno z przedstawicieli pracodawców, jak i pracobiorców. Rada ta silnie została związana z rządem przez postawienie ministra korporacyj na jej czele. Organem wykonawczym rady był centralny komitet korporacyjny, również pod przewodnictwem ministra. Obecnie system korporacyjny, jednoczący obie klasy, zostanie wprowadzony wszędzie. W następstwie ulegną reorganizacji syndykaty, których liczba z 13 zostanie zmniejszona do 9. Przytem normowanie warunków pracy przejdzie na korporacje.

Przewodniczący poszczególnych korporacyj tworzą Narodową Radę Korporacyjną.

Już w tym skrócie odrazu każdy zauważy dominującą cechę tego projektu ustroju korporacyjnego. Stanowi ją ingerencja państwa, posunięta do maximum. Jeśli się weźmie pod uwagę, że naczelne stanowiska w korporacjach nie są wybieralne, lecz z nominacji i że ta nominacja spoczywa w ręku rządu i partji, to otrzymamy obraz ustroju bardzo zacieśnionego. Jesteśmy w obliczu gospodarki zetatyzowanej ad maximum, wobec omnipotencji państwa, jak dotąd niebywałej.

W schemacie podziału włoskich korporacji trafne jest niewątpliwie stworzenie dwu zasadniczych grup: rolniczej i przemysłowej. Uwydatnia to odrazu zasadnicze zagadnienie gospodarcze naszych czasów: rozdźwięk między wsią a miastem, rolą i przemysłem. Tu dziś wre „walka klas“,

tu trzeba wyrównać zasadniczy antagonizm. Pod tym względem sprawa stoi jasno.

Reasumując, musimy stwierdzić, że ustrój korporacyjny w tej włoskiej formie prowadzi do drugiego extremu, równie niebezpiecznego, jak wolność niekontrolowana. Co zatem idzie, jest sprzeczny z zasadami encykliki „Quadragesimo anno", podkreślającej dobitnie, przy całym nacisku na błędy liberalizmu — prawo do autonomji gospodarczej obywatela i społeczeństwa".

Zamykając zebranie i ogłaszając Sekcję dla ustroju korporacyjnego za ukonstytuowaną, podniósł przewodniczący, że Związek Polskiej Myśli Państwowej, podejmując tę sprawę, daleki jest od wszelkiej ambicji stawania na jej czele w kraju. Związek pragnie tylko skutecznie jej służyć, apelować do skoordynowania wszystkich sił, które już się temu zagadnieniu poświęcają, werbować dla tej idei nowych zwolenników, a przedewszystkiem sam pracować nad rozwiązaniem szczegółów tego problemu w pierwszym szeregu. Tym celom służyć będzie Sekcja, która niniejszem rozpoczyna systematyczną działalność.

CZŁOWIEK W SPOŁECZEŃSTWIE.

W artykule pod tytułem „Prawo, człowiek i społeczeństwo“ starałem się udowodnić, że zarówno jednostka ludzka, jak i społeczeństwo, mają równe prawo do niezależności, ale tylko jeżeli uznają się za zależne od najwyżej stojącej, absolutnie niezależnej Osobistości Bożej.

Ta względna niezależność ludzkości, zarówno zbiorowej, jak i pojedyńczej, jest więc ograniczoną, bo normowaną przez prawo Boże albo prawo natury, danej przez Boga swojemu rozumnemu i wolnemu stworzeniu. Zarówno osoba, jak i społeczeństwo istnieją z woli Bożej, muszą więc mieć w naturze swojej dane, które im ułatwiają rozwój tej, od Boga danej natury. Nie można rozważać praw osoby ludzkiej niezależnie od społeczeństwa, jak również praw społeczeństwa bez uwzględnienia praw pojedyńczych jego członków, mających każdy cel osobisty wieczny i przyrodzone prawa. Z tego wzajemnego uwzględnienia może dopiero rozwinąć się harmonja, rozwój, wzrost, jednem słowem to, co my nazywamy kulturą.

Bogactwo Bożego stworzenia jest tak wielkie, że niema w miljardach ludzi, którzy byli, są i będą, dwóch identycznie pod wszelkimi względami równych. Doświadczenie zaś potwierdza naukę objawioną, że wszyscy rodzimy się z grzechem pierworodnym i skłonni jesteśmy więcej do złego, niż do dobrego.

Jakże, przy tak smutnym stanie rzeczy dojść do tego, aby pojedyńczy człowiek używał względnej swej wolności, stosując się do ogółu i aby ogół, mający więcej siły przymusowej, niż jednostka, uwzględniał wolność jednostki?

W tej kwestji leży cały dramat zarówno liberalizmu, jak hitleryzmu, bolszewizmu, faszyzmu albo totalnego państwa.

Wyjścia z tego dramatu niema, jeżeli się nie uzna zależności, którą starałem się udowodnić w poprzednim, wyżej wzmiankowanym artykule.

Jeżeli się zaś uzna tę zależność, to wyjście z dylematu się znajdzie, choć ono też, wskutek naszej natury, do łatwych nie należy.

Rodzi się człowiek z wieloma danemi osobistemi i odziedziczonemi, duchowemi i fizycznemi, będącemi w dziwnie skomplikowanych stosunkach między sobą, t. j. między częścią duchową a materjalną, którą nazywamy człowiekiem.

Jego względna wolność, t. j. jego wolna wola, często przez naturę zmysłową krępowana, daje mu jednak ogromne pole działania i rozwoju w życiu. Wielka część ludzkości nie umie, a często i nie chce z tego korzystać. Stąd po części wynika, że każda pojedyńcza osoba inaczej się rozwija i do innego szczebla dochodzi. Zasadnicza pomyłka liberalizmu polegała na tem, że nie uwzględnia różnej wartości, zarówno osobistej, jak i w stosunku do społeczności, jednostki ludzkiej. Przesadą w kierunku odwrotnym jest uważać społeczeństwo jako jedynie miarodajne, ignorując jednostkę. Przesada ta ma w sobie samej sprzeczność, bo społeczeństwo z osób się składa i jeżeli przodujące w nim osoby doszły do pewnego rozwoju osobistego, to nie wskutek ich ignorowania, a jedynie wskutek tego, że się im dało możność rozwoju.

Możność rozwoju indywidualnego jest wymogiem koniecznym, z prawa Bożego i natury wynikającym, jak dla jednostki, tak i dla dobra społeczeństwa.

Przy wolnym rozwoju indywidualnym dopiero w późniejszych objawach i czynach życiowych uwydatnia się, ile i w jakim kierunku jednostka potrafiła rozwinąć się na niezmierzonej płaszczyźnie możliwego wzrostu, a zarazem uwydatnia się stosunkowa wartość jednostki dla ogółu społeczeństwa. Teoretycznie zdaje się to nie ulegać wątpli-

wości, ale praktycznie sprawy ustosunkowania się jednostki do społeczeństwa nie rozstrzyga.

Jak więc praktycznie tę kwestję unormować, starając się, aby do zarządu społeczeństwa trafiło jaknajwięcej jednostek pożytecznych dla całości?

Do tego w pierwszym rzędzie nie może służyć Państwo albo władza społeczna, które mogą tylko korzystać z rezultatów poprzedzającej fazy, a na przyszłość pośrednio tylko pomagać, albo przeszkadzać.

W pierwszym rzędzie będzie zawsze i wszędzie dom rodzicielski, dalej dopiero szkoła, a ostatecznie czyny dorastającej i dorosłej osoby.

Zawsze na wstępie zaznacza się ważność domu rodzicielskiego, z którego jednostka ludzka bierze ze sobą na dalszą wędrówkę życiową podstawowe podniety i przykłady. Żeby dojść do jak najliczniejszego dorostu zdrowych i dodatnich osobników, najniezbędniejszym warunkiem jest zdrowie moralne domu rodzicielskiego. Tu religja i pomoc państwa są koniecznemi i jedynemi podporami. Religja jako nauka moralna, a w katolicyźmie potężna pomoc nadprzyrodzona, sakramentalna, a państwo jako regulator życia w kwestjach materjalnego bytu.

Ze zdrowego domu, pod wpływem dobrych przykładów i zasad, młodzieniec trafia dla dalszego rozwoju do szkoły. Niepotrzeba tu chyba podkreślać, jak jest ważnem, aby szkoła, dając naukę i duchowy rozwój, nie niszczyła zdrowego podkładu domu, a gdzie go brak, starała się ten brak naprawić. Na tem opiera się dążność do szkoły wyznaniowej i wymaganie społeczeństwa, aby państwowa władza to zrozumiała i popierała.

Jeżeli te pierwsze stopnie są osiągnięte, to młody, niedoświadczony, ale mający w sobie dobre zarodki człowiek wstępuje do dalszego określenia drogi i rozwoju życiowego.

Droga, którą pójdzie, jest najczęściej już zarysowana przez dom rodzicielski; wyjątki częste, ale zawsze tylko

wyjątki, tworzą się przez specjalne skłonności i zdolności osobiste młodzieńca. Tu już organizacje społeczne, a przedewszystkiem władze państwowe mają szeroką arenę współpracy; rezultat jednak będzie tylko kanwą, na której jasny obraz dorobi osobisty wysiłek jednostki.

Ważnem jest, aby każdy znalazł odpowiednie pole dla dalszego rozwoju.

Zaczyna się coraz ważniejsza współpraca społeczeństwa. Bez organizacji tego pola może powstać tylko chaos, jakiego jesteśmy świadkami, jako spadkobiercy długoletniego panowania liberalizmu. Społeczeństwo powinno z tego chaosu wyjść i pomyśleć o zorganizowaniu ram dla zdrowego rozwoju dojrzewającej jednostki. Nie jest to do pomyślenia bez planowego określenia różnych czynności, które my nazywamy zawodami. W dążności do zorganizowania wielorakich niezorganizowanych zawodów państwowa władza znalazłaby chętnych i koniecznie potrzebnych współpracowników, a bez zrozumienia i pomocy społeczeństwa nic żywotnego utworzyć nie zdoła.

Wyższa władza państwowa powinna wypracować ramy religijno-moralne i państwowe, w których już mogłyby się swobodnie organizować i rozwijać różnorodne zawody umysłowe i rękodzielnicze.

W zorganizowanych odpowiednio zawodach dojrzewałaby młoda dusza człowieka i okazałaby swoje indywidualne zdolności. W nich by się okazało, kto duchowo wyrasta poza ramy zawodu, kto w nich się mieści, albo nawet do nich nie dorasta. Przy wolnej wewnętrznej organizacji z natury rzeczy, w ramach jeszcze zawodowych, umysłowo, moralnie albo nawet praktycznie silniejsze jednostki nabrałyby znaczenia i mogłyby wyrobić się na pożytecznych dla ogółu obywateli. Bez takiego, pewno niełatwego i nie dającego się z dnia na dzień utworzyć przygotowania, nie sposób dojść do harmonijnego współdziałania jednostki ze społeczeństwem, dla którego nieodzownie potrzebne są: moralna podstawa, wyrobienie osobiste i pogląd na otacza-

jący świat z miłością, a nie z punktu widzenia ciasnego egoizmu.

I tu właśnie zaznacza się mądrość Kierownika naszego państwa, który nie przez skok, nie przez państwo totalne, jak na zachodzie, ale przez stopniowe wychowywanie społeczeństwa do tego celu dąży. Oby jego współpracownicy potrafili uniknąć pokusy totalizacji, która nam grozi przez za daleko posuniętą ingerencję państwową, albo i wszechwładzę administracyjną.

Arcybiskup Edward Ropp

O KRÓLOWĄ JADWIGĘ.

Przeszły przed dwoma laty przez całą Polskę wielkie, podniosłe manifestacje Episkopatu i społeczeństwa polskiego, wyrażające gorące pragnienie naszego narodu, aby świętobliwa Monarchini, od której rządów mocarstwowość Polski się zaczyna, wyniesiona została na ołtarze Świętych. Odbyły się wspaniałe uroczystości kolejno w Krakowie, Warszawie i Wilnie, a wreszcie na Jasnej Górze, gdzie przybył cały polski Episkopat i nieprzejrzane tłumy, ożywione przedewszystkiem **głębokiem przekonaniem,** że królowa Jadwiga jest świętą i że powszechna ta wiara narodu polskiego wymaga już tylko sankcji Kościoła.

Złożono do rąk Arcybiskupa krakowskiego osiemnaście grubych foljantów z petycjami do Stolicy św. o wszczęcie procesu kanonizacyjnego i sprawa ta dotarła do Papieża także innemi drogami. Wyznaczony został z ramienia Archidjecezji krakowskiej jeden z uczonych księży na Postulatora procesu i postępowanie formalne zostało wdrożone. Ale wówczas nastąpiło to, co się często, niestety, u nas zdarza, jako w narodzie o słomianym ogniu, nieprzyzwyczajonym do tego, aby doniosłe sprawy, na dłuższą zamierzone metę, konsekwentnie, systematycznie przeprowadzać: społeczeństwo polskie umilkło, założyło ręce i zwróciło swą uwagę w inną stronę. Poszczególne usiłowania w niektórych djecezjach, a zwłaszcza w krakowskiej i kujawskiej, kontynuowanie kultu Królowej przez urządzenie szeregu mniejszych, regjonalnych manifestacji, a nawet pielgrzymek do grobu Jadwigi na Wawelu, nie wzbudziły szerszego i trwalszego ruchu w społeczeństwie, które widocznie żyje słomianym ogniem i — mimo niezaprzeczenie dobrej woli — pragnieniem coraz to nowych wrażeń i sensacji.

Może to zbyt złośliwe twierdzenie, które ktoś przy tej okazji wypowiedział, że te wszystkie polskie masy, które brały udział z taką wiarą i zapałem w uroczystościach ku czci Królowej Jadwigi, czyniły to niewątpliwie w najszczerszej intencji, ale podświadomie — w lekkiej swej słowiańskiej psychice — traktowały to jako pewną nowość, jakgdyby „sensację“, po której wraca każdy do swego porządku dziennego, do swych „realnych i konkretnych“ zajęć zawodowych, kłopotów finansowych i t. p. Sąd ten, w danym wypadku zbyt może surowy i cyniczny, zawiera jednak niewątpliwie pewne ziarno prawdy. Niżej podpisany, który miał możność dokładnej obserwacji przebiegu uroczystości np. w Warszawie, tego chwilowo zbudzonego entuzjazmu wszystkich sfer, a wnet potem całkowitego niemal zaniku zainteresowania tą sprawą, musi mimowoli ostry sąd ten o swych współrodakach w pewnej mierze potwierdzić.

Tak jest — żyjemy ciągle serją słomianych ogni, które zapalamy, jak dzieci, jedne po drugich, znudzamy się szybko każdą, choćby najdonioślejszą sprawą i dlatego — nie umiemy robić własnej historji, jak inne narody! Ta właśnie nieszczęsna motylkowość naszego usposobienia, ten absolutny brak wytrwałości i umiejętności w doprowadzaniu do końca rozpoczętych zamierzeń i rozwiązywania różnych ważnych problemów miały ongiś ten rezultat, że dawna Polska ani jednego z wielkich swych zadań historycznych nie spełniła i dlatego upadła. Stała się chwilowo poprostu zbędną w rodzinie ludów Europy. Jeżeli dziś, mimo wysiłku poszczególnych rządów czy jednostek, podobną motylkowość i brak konsekwencji wykaże, to smutne wypadnie postawić horoskopy. Sama sztuka dyplomatyczna i flota powietrzna i motoryzacja armji stanowczo tu nie pomogą, gdyż to techniczne tylko środki, mało przydatne, jeżeli za nimi nie stoi prawdziwa tężyzna społeczeństwa. Jak mało bez niej są one przydatne, świadczy o tem najlepiej druzgocący fakt, że po zmiażdżeniu

armji bolszewcikiej przegraliśmy — rozumując naiwnie — traktat w Rydze!

Tak jest u nas niemal ze wszystkiem. Słomiany ogień, dorywcze paljatywy, życie z dnia na dzień i lamenty z dnia na dzień i pogoń za coraz to inną sensacją, a potem — wielkie, iście słowiańskie nic! I dlatego to, poza religijną stroną sprawy, kładziemy tak wielki nacisk na doprowadzenie do skutku kanonizacji Królowej Jadwigi. Widzimy w tem bowiem egzamin dojrzałości narodu polskiego po twardej nauce rozbiorów i półtorawiekowej niedoli. Albo społeczeństwo polskie potrafi zdobyć się na to wszystko, co jest potrzebne do osiągnięcia zamierzonego w tym wypadku rezultatu, albo nie, a w takim razie będzie to już dla współczesnego obserwatora i historyka wymownym dowodem, że i innych doniosłych spraw, wymagających wytrwałości i konsekwencji, Polacy przeprowadzić nie potrafią i znowu, jak ongiś, wszystkie głębsze, prawdziwie doniosłe sprawy polityczne, gospodarcze i inne będą przegrywać.

Inaczej być nie może. Bo sprawa Królowej Jadwigi, jako probierz tężyzny dążeń i metod narodu polskiego, jest takiem samem zagadnieniem, jak kwestja naprawy ustroju państwa i moralnego podniesienia się społeczeństwa, jak przezwyciężenie kryzysu społeczno - gospodarczego, jak wygranie sprawy bałtyckiej, czy innej ważnej kwestji zewnętrzno - politycznej, i t. d. Kto nie potrafi przeprowadzić jednego, nie będzie także umiał rozwiązać szczęśliwie innych zagadnień.

Oto dlaczego Nasza Przyszłość i Związek Polskiej Myśli Państwowej wysunęły i wysuwać nie przestaną sprawy kanonizacji Królowej Jadwigi. Oczywiście, dla samego procesu kanonicznego ma znaczenie tylko kwestja udowodnienia świętobliwości Królowej oraz rozpowszechnienie jej kultu w narodzie, do czego wrócimy poniżej. Ale dla Polaków zwiększa się to zadanie jeszcze momentem moralnym i państwowym. Powtarzam, że chodzi tu tak-

że o prawdziwą próbę dojrzałości społeczno - politycznej. Historja wydaje swoje wyroki krótkiem „tak“ lub „nie“. Żadne wymówki, ani wykręty nie wejdą w rachubę w tym bezapelacyjnym trybunale. Ani słabość różnych sfer duchownych, ani zbytnie zaabsorbowanie powołanych sfer naukowych innemi, raczej drobiazgowemi zagadnieniami, ani zbytnie zaabsorbowanie umysłów ogółu społeczeństwa sprawami kryzysowemi, czy ustrojowemi, czy aktualistyczną politykę lub jeszcze bardziej chwilowo aktualnymi kłopotami materjalnymi, czy wreszcie zbyt jednostronny nacisk czynników rządzących w kierunku nadmiernego kultu państwowości z pewnem zlekceważeniem lub niedostatecznem zrozumieniem głębszego sensu dziejów Polski i polskiej racji stanu, która właśnie na uchwyceniu i realizacji pewnych, szczególnie doniosłych na całą przyszłość zadań polega. To wszystko w sądzie historji nie wejdzie w rachubę, jako okoliczności usprawiedliwiające, bo dla współczesnych naszych dziejów rzecz formułuje się tylko tak: czy Polacy będą lub nie będą w stanie przeprowadzić we wskrzeszonej ojczyźnie kanonizacji Królowej Jadwigi?

Francuzi wykazali w tej dziedzinie daleko większy zmysł dla swej racji stanu i dla głębiej zrozumianego patrjotyzmu. Mimo bowiem, że Francja była od półtora wieku niejako głównym ośrodkiem idei rewolucyjnych i antyreligijnych, skąd zrodziły się bezpośrednio lub pośrednio wszystkie materjalistyczne, ateistyczne lub wprost nawet wywrotowe doktryny nowoczesne i mimo tego, że od dziesiątek lat rządzą Francją przeważnie prądy masońskie, które wypędziły zakony z granic państwa, zniosły wpływ kościelny na wychowanie i dążą wyraźnie do wyprócia uczuć religijnych z duszy francuskiego społeczeństwa, to jednak wszyscy Francuzi, nie wykluczając wkońcu i różnych radykalno-ateistycznych partji politycznych oraz masońskich dostojników i rządu, zjednoczyli się w doprowadzeniu do skutku kanonizacji Dziewicy Orleańskiej, która rze-

komo pierwsza miała we Francji rzucić wielkie hasło: La Patrie!

A we wspaniałych na jej cześć obchodach, które po dziś dzień nie ustają, brał oficjalny udział — obok najwyższych dostojników państwa — w galowym mundurze ambasador Anglji, a więc narodu, który ongiś wydał na Joannę wyrok śmierci i kazał ją spalić na stosie. Wszak jeszcze Szekspir w jednem ze swych arcydzieł przedstawia Dziewicę Orleańską, jako oddaną czartom i wzywającą ich pomocy dla zwalczenia angielskiego najeźdźcy. A niedawne, niemal współczesne fotografje przedstawiają nam widoki oficjalnej trybuny, na której w czasie olbrzymich manifestcji na cześć św. Joanny siedzą obok siebie w fotelach prezydent Republiki, kardynał Paryża i ambasador Anglji.

Tak robi własną historję dzielny, tęgi naród, mimo niezawodnie olbrzymich trudności, jakie nastręczało złożenie dowodu świętobliwości postaci naogół legendarnej, jaką była Joanna d'Arc! Francuzi zrozumieli, że — poza kwestją natury kościelno - religijnej — wyniesienie na piedestał postaci i symbolu Joanny jest niezbędnem także dla głębszej konsolidacji współczesnej Francji i jej trójbarwnego sztandaru.

A o ileż mniejszą jest stosunkowo dla dziejów Francji rola i zasługa Dziewicy Orleańskiej od potężnej roli historycznej i wielkich zasług na różnych polach naszej wielkiej Królowej z przodującego wówczas Europie rodu Andegawenów! Ona to wstrzymała krzyżacko - niemiecki Drang nach Osten, wówczas naprawdę niebezpieczny, bo mający na swe usługi większość państw cywilizowanych. Ona wniosła, na pewnych Kazimierzowych podstawach, prawdziwie wielką, zachodnią do Polski kulturę. Ona ofiarą swego serca i swej osoby rozszerzyła małe państwo piastowskie w pierwszorzędne mocarstwo. Od niej to datuje się szczytna misja Polski, jako przedmurza chrześcijaństwa. Jej panowanie i Jej niepospolity genjusz polityczny

wytyczyły Polsce wszystkie najważniejsze zadania historyczne, które dziś są równie aktualne, jak pięć wieków temu.

Czy to jeszcze zamało, aby zwrócić uwagę dzisiejszych „myślących“ Polaków, a zwłaszcza myślących mężów stanu? Czyż tak dalece nie rozumiemy głębszego sensu naszych dziejów i racji bytu naszej Ojczyzny, że w drobiazgowem zabieganiu o efemeryczne aktualja dyplomatyczne lub gospodarcze — albo poprostu tylko wyborcze! — nie umiemy jąć się pociągnięć o bez porównania większem i realniejszem dla przyszłości naszego państwa znaczeniu? Czyż nasi uczeni statyści i ci wszyscy wogóle, którzy aspirują do tytułu „elity“ narodu i mają odpowiednie wykształcenie, nie są w stanie zrozumieć, że nam Królowa Jadwiga, wywyższona dzisiaj — właśnie dzisiaj — na ołtarze Świętych i na piedestał symbolu narodowej i państwowej potęgi, może po raz wtóry utrwalić na wewnątrz, a stąd i na zewnątrz potęgę urawdziwie mocarstwową?!

Ale chodzi w tej sprawie jeszcze i o coś innego, nawet więcej doniosłego od narodowej i państwowej potęgi, która — jak wszystkie ludzkie sprawy — ulegać może fluktuacjom blasku i upadku. Chodzi o współczesną walkę światła z ciemnością, dobrego i złego pierwiastka w polskim narodzie. Zwycięstwo jednego z nich zadecyduje o dalszych losach państwa.

Nienawiść bliźniego, bezmyślna walka i egoizm klasowy, jeszcze bezmyślniejsza i głupsza walka partyjno - polityczna — która w gruncie rzeczy nie ma najczęściej nic wspólnego z prawdziwemi przekonaniami, a tylko doraźną, konjunkturalną korzyść na celu za jakąbądź cenę — dalej rozpowszechniający się u nas suwerennie najskrajszejszy materjalizm, wiodący za sobą w nieuchronnej konsekwencji bezbożnictwo i pogardę wszelkiego ideału, bez którego najmądrzejszy człowiek maszyną lub zwierzęciem się staje, dalej zastanawiająca bezideowość i codziennie spraw-

dzany cynizm najmłodszego pokolenia, daremnie wychowywnego jednostronnie w nadmiernym kulcie Państwa i ciała, co ma mu ex officio niemal wszystko inne zastąpić, wreszcie penetrujące i panoszące się w całej tej dusznej atmosferze rozkładowe wpływy różnych „obcych agentur“ — których niebezpieczeństwo słusznie sygnalizuje oddawna Marszałek Piłsudski — to wszystko razem składa się dotąd na supremację w Polsce pierwiastka złego. Walka ta głębszą jest, niż się to ogółowi wydaje. A od jej wyniku zależy to, co zawsze i wszędzie decyduje o losach państwa: zdrowie moralne narodu. Żaden Piłsudski, żaden Napoleon, żaden nawet najlegendarniesjzy wódz i bohater, którego imię, „czterdzieści i cztery“ — nie będą w stanie natchnąć narodu tężyzną, jeśli zabraknie w tym narodzie moralnego zdrowia, jeżeli zwyciężą w nim idee ujemne, pierwiastki złego. I tu właśnie musi wystąpić i potężnie zaważyć na szali jakiś odpowiedni moment i symbol wyższy, prawdziwie nadrzędny, w którym skrystalizowane są właśnie dodatni kierunek i wszelakie wznioślejsze momenty i cechy ducha dziejów Polski. A te warunki jednoczy w sobie pod każdym względem najlepiej postać historyczna Królowej Jadwigi. Jednoczy w sobie wszystko, czego nam dzisiaj potrzeba — od wielkiej świętobliwości, osobistej ofiarności i doniosłej misji chrześcjańskiej, do dalekowzrocznego genjuszu politycznego i głębokiego zrozumienia dla kultury, społeczności i realnych podstaw rozwoju gospodarczego. Stopniowe odrywanie się od tych wszystkich doniosłych momentów sprowadziło w konsekwencji różne klęski na geograficznie, etnograficznie i moralno - religijnie szczególnie eksponowane państwo polskie. Stąd prosty wniosek, że do momentów tych trzeba nawrócić i zaszczepić je głęboko w umysły nietylko dojrzałego, ale przedwszystkiem dorastającego i najmłodszego pokolenia.

Bo — w jakiejże postaci widzi dzisiaj to młode pokolenie swą Ojczyznę?

Widzi ją najpierw w niezbyt budującej formie rozwydrzonej, spryciarsko - egoistycznej walce partyjno - wyborczej wśród starszych, rzucających dokoło siebie bezduszne frazesy, z których młodzież nic sobie nie robi, albo nawet wprost z nich się naśmiewa. Widzi ją dalej w formie narzucanych przez szkołę pojęć i formuł oficjalnych, które właśnie dlatego, że są z góry, oficjalnie narzucane, wywołują wśród młodzieży — jak wszelki przymus — odruch krytycznej opozycji. Widzi ją w doraźnych pociągnięciach różnych kierowników resortów rządowych, z czego jedne chwali, drugie po swojemu krytykuje. Widzi ją w defilujących przez ulice oddziałach wojskowych i tankach, ale wszelkie takie widoki muszą spowszednieć z biegiem czasu tym, którzy Polski w powstaniach, niewoli zaborczej i w wysokiem napięciu ideowem nie przeżyli i ne widzieli. Widzi ją w kłopotach finansowych i piorunowaniu przeciw naciskowi podatkowemu, co stanowi dzisiaj jeden z głównych tematów rozmów domowych. Widzi wreszcie tę ojczyznę w nadmiernym kulcie sportu i wychowania fizycznego, gdzie, według dzisiejszych wyobrażeń młodzieży, pięść jest wszystkiem, a rozum i zasługa niczem i gdzie młodzież dzisiejsza dopatruje się cynicznie najłatwiejszej drogi do karjery, nawet do takiej karjery, która z celem sportu lub wychowania fizycznego nic nie ma wspólnego.

A praktyczny rezultat patrjotyczny? Otóż ten tylko, że gdy my, starsi, stawaliśmy niegdyś w patrjotycznych obchodach tłumnie, z zapałem, bez przymusu, to dziś nieraz większa część klasy szkolnej, wezwana do udziału w patrjotycznym obchodzie, „zwiewa" z niego cynicznie i „idzie na wagary", ciesząc się tylko, że obchód patrjotyczny da im parę godzin wolnych od nauki.

W taką atmosferę wchodzą doktryny materjalistyczne i wywrotowe oraz wpływy „obcych agentur" i karykaturują ducha społeczeństwa, znajdując coraz podatniejszą glebę. Duch młodszych pokoleń kształtuje się pod tym wpływem — w ogólnej wypadkowej — w kierunku ujem-

nym. Pierwiastki ujemne, pierwiastki złego, a zwłaszcza cynicznego, karjerowiczowskiego materjalizmu, muszą opanowywać w tych warunkach umysły i tendencje młodych pokoleń, dla których niczem jest cała głęboka nauka rozbiorów i niewoli, bo dla nich niepodległość polska „sama się przez się rozumie".

Dolewa oliwy do ognia jeszcze niebywała w nowoczesnej historji, ślepa, zaciekła nienawiść, skoncentrowana w obozie naszego domorosłego nacjonalizmu, który Boga, Kościół, Ojczyznę, prawdę dziejową, zdrowy rozsądek, dolę społeczno - gospodarczą i polityczną narodu i wszystkie pierwiastki dobrego i złego chce uginać i nadużywać dla swych krótkoterminowych interesów partyjno - wyborczych i z podeptaniem wszelkiej etyki z białego robi czarne, a z czarnego białe. Przykładu, podobnie bezmyślnej, niepatrjotycznej i antyreligijnej zaciekłości trudno byłoby znaleźć w nowoczesnych dziejach. Wszak nawet bolszewicy uznali za konieczne dla państwa współdziałanie intelektualnie wartościowych elementów „burżuazyjnych"! Nacjonalizm zaś polski występuje z obłędną nienawiścią i negacją przeciw wszystkiemu, co mu się ślepo nie poddaje i nie powiększa ilości jego bezużytecznych, bezpłodnych i bezdusznych mandatów na gasnącej arenie staromodnego parlamentaryzmu. Świadome lub podświadome uczucie własnej bezużyteczności w narodzie, o dostatecznie wykształconych pojęciach patrjotyzmu, wzmacnia ideę i taktykę antychrześcijańskiej nienawiści, na której dzisiaj już jedynie i wyłącznie opiera swą egzystencję nacjonalizm polskiego autoramentu. Widzi to młodzież i coraz lepiej zdaje sobie z tego sprawę, ale korzystają z tego również wszelakie „obce agentury" i frondy ateistyczno - wywrotowe, którym partyjny „bóg endecki" oraz bezwzględna etyka „narodowo - chrześcijańska" niezmiernie są na rękę.

Niestety, wiele, zbyt wiele sfer w Polsce, chlubiących się, a raczej chełpiących się religijnością i katolicyzmem, ulega wciąż jeszcze narkozie tej najnieetyczniejszej ideologji,

jaka kiedykolwiek istniała w polskim narodzie. Były u nas oddawna zacięte walki partyjne, społeczne i religijne — chociaż te ostatnie w mniejszym stopniu, niż gdzieindziej — ale nikomu nie przyszło na myśl wprzęganie Boga i Kościoła wyłącznie dla swych partyjnych celów, arogowanie sobie monopolu katolicyzmu w narodzie, a nawet identyfikowanie narodowości polskiej z własną partją. Bo znowu nawet bolszewicy uznają, że poza ich partją są przecież jacyś Rosjanie i że nie wszystko jest głupie, co pochodzi od niebolszewików. Dla naszych „narodowców“ nie istnieje nic uwagi godnego, poza obrębem ich obozu. I tem mniej zrozumieć można mentalność wielu naszych rodaków, a zwłaszcza duchownych, którzy, widocznie w obawie o stratę swych owieczek, podsycają bezpośrednio lub pośrednio ideę nacjonalizmu, nie zdając sobie sprawy, że idea ta, na nienawiści oparta, nie ma i nie może mieć nic wspólnego z podstawową zasadą religji i etyki katolickiej.

Tak więc, gdy jedni grzeszą nadmiernym kultem państwa i pierwiastków materjalistycznych, to drudzy wpadli w prawdziwie pogańskie pojęcia religji, ojczyzny i narodu. A ponad tem wszystkiem unosi się w całem niemal społeczeństwie bardzo pozioma, duszna i zaciemniająca horyzont atmosfera ordynarnego interesu i to tak dalece, że kto tej atmosferze nie hołduje, uważany bywa za nierealnego fantastę. Oto, w krótkim zarysie, obraz sytuacji, w której akcja kanonizacyjna Królowej Jadwigi — w związku z prawdziwą, głębiej ujętą Naprawą Rzeczypospolitej — nabiera znaczenia kategorycznego imperatywu i tak właśnie powinna być przez Rząd, Episkopat i całe zdrowo myślące społeczeństwo rozumiana. Powinna być zrozumiana nawet przez tych, którzy są religijnie obojętni, ale pojmują należycie konieczność moralnego odrodzenia narodu. A takie moralne odrodzenie żadnemi politycznemi hasłami uskutecznić się nie da. Tu zaważyć musi na szali jakiś wielki, nadrzędny, powiedzmy otwarcie: nadziemski autorytet.

I dlatego nie przestaniemy propagować kultu Królowej Jadwigi i dążyć do osiągnięcia Jej kanonizacji.

Zdajemy sobie sprawę, jak trudnem jest z różnych względów nasze zadanie, jak potężnych mamy na tej drodze przeciwników. Jednym z nich, to okoliczność, że inicjatywa nie wyszła z łona przywódców nacjonalistycznego obozu, a to już wystarcza, aby akcja kanonizacyjna miała ośrodki tego obozu przeciw sobie. Drugim jest niedostateczne zgłębienie religijnej racji stanu Polski przez tych wszystkich, którzy powierzchownie Polskę ujmują lub wysługiwać się muszą — biedacy! — obcym agenturom materjalistyczno - wywrotowym. Trzecim wreszcie przeciwnikiem jest paraliżujący marazm, w który popadło dzisiaj społeczeństwo polskie, interesujące się naprawdę tylko kwestją ulg podatkowych, cen na produkty, żyra wekslowego i kredytu.

Ten ostatni przeciwnik jest może najgroźniejszy ze wszystkich! Tem groźniejszy, że nie pojmuje tej prostej prawdy, iż moralne odrodzenie społeczeństwa jest pierwszym warunkiem także i materjalnego dobrobytu!

Zdając sobie z tego wszystkiego — i z wielu innych trudności — doskonale sprawę, nietylko nie ustaniemy w kampanji o Królową Jadwigę, ale przeciwnie, jeszcze ją zaostrzymy. Nie zawahamy się przed kolejnem dewualowaniem tego wszystkiego, co temu zbożnemu i użytecznemu działu stanie jeszcze na drodze. Tylko słabość propagatorów tej wielkiej idei przeszkodziła jej realizacji w ciągu pięciu minionych wieków. Raz po raz cofano się przed różnemi „trudnościami", które spotykano na drodze. Nasza „Sekcja szerzenia kultu Królowej Jadwigi", będąca jednym z działów Związku Polskiej Myśli Państwowej, nie cofnie się przed żadną trudnością i nie zawaha się — wzywając wszystkich Polaków, bez różnicy przekonań, do wytężonego wysiłku do celu — przed najszczerszem i najbezwzględniejszem napiętnowaniem zarówno złej woli, jak

i słabości, gdziekolwiek one się objawią. Trudne dzieło i duże trudności mocnej wymagają ręki i taktyki.

A nadewszystko niezbędnem jest rozbudzenie, a raczej odrodzenie powszechnego kultu dla świętobliwej Królowej w polskim narodzie. Kult ten, potwierdzony cudami, istniał przez pewien czas po śmierci Jadwigi, ale później zaginął w miarę upadku Rzeczypospolitej. Na istniejący kult zwraca szczególną uwagę Watykan przy procesie kanonizacyjnym. To też słusznie usiłują wzbudzić go na nowo niektórzy Księża Biskupi. Ale trzeba, aby zrobiono to z należytą mocą we wszystkich djecezjach, we wszystkich dzielnicach państwa i trzeba również, aby inicjatywa w tym względzie wychodziła nie od samych tylko Arcypasterzy. Cały naród, a w pierwszym rzędzie jego olbrzymia większość katolicka — odsuwając waśnie polityczne na właściwe forum wieców wyborczych — winien podnieść się w zgodnym, rozumnym, potężnym porywie i — złożyć dowód, że wielkie zamierzenie potrafi do skutku doprowadzić.

Jan Bobrzyński.

S. O. S!
WIEŚ WOŁA O RATUNEK.

Mam od kilku dni gościa, wprost z Francji. Spędzał w Paryżu ostatnie lata. Pachnie jeszcze cały dobrą wodą toaletową i kulturą zachodu. Wykwintny, wykształcony, wielki pan, światowiec. Z szerokiej areny życia europejskiego na krótki czas zapadł na cichą, w błotach roztopów zagubioną wieś polską. Tu zabłąkał mu się w rękę artykuł Jana Wiktora w „I. K. C.“: „Kryzysowa niedola wsi polskiej“.

— Ależ to jest chyba czysta przesada, co ten Wiktor opisuje! Chłop tu w Polsce nie ma soli, aby świnię zarżnąć, kupuje po parę zapałek, bo na całe pudełko go nie stać? To już niezdrowo tak blagować! Niech pani przyzna!

— Ależ nie. Żadna przesada! To krwawy strzęp życia wiejskiego, wydarty z naszego bytu i rzucony na łamy prasy. Niech tego Wiktora Bóg błogosławi za to, że ujął pióro i wołać w naszej sprawie zaczął. Wszystko, co pisze, to jaskrawa, najprawdziwsza prawda, tylko, że to jeszcze dopiero mały rąbek naszej nędzy.

— Nie mogę uwierzyć, mimo wszystko, kochana pani!

Cóż dziwnego, że nie wierzy temu światowiec, który jest niemal gościem w kraju, gdy nie wierzą temu panowie dygnitarze, którzy żyją tu stale w wygodzie, po wielkich miastach, na wysokich stanowiskach i urzędach.

Proszę, panie dygnitarzu, przejść się tylko po uliczce wioski naszej. Tylko ostrożnie, aby trzewików, ładnych, szewrowych, nie pogubić w błocie. Proszę, ot tak, może tu — do pierwszej z brzegu chaty. Trzeba przeskakiwać kałuże. Ostrożnie, można się poślizgnąć. Chata tkwi w rodzimem błocie, wlepiona w nie mocno... nic jej stąd nie ruszy — ale dostać się tam do środka trochę trudno...

Na skobel zamknięte proste drzwi otwierają się. Zaduch i smród wali w nas z taką siłą, że wypycha z powrotem na dwór. Ej nie, panie dygnitarzu, proszę jednak wejść, tu przecież — żyją ludzie. Można chwileczkę także postać, jeźli niema na czem wygodnie usiąść. Nie spodziewają się nas oczywiście. Na środku izby stoi kobieta, szara i smutna, tylko oczy w twarzy czarne, duże, jakby zamglone, patrzą na nas pytająco.

— Proszę otworzyć zaraz okno. Jak możecie nie wietrzyć chaty! Panu dygnitarzowi niedobrze się robi.

— Ta... szkoda ciepła. Drzewa niema skąd kupić. Tyle, co dzieci chróstu uzbierają...

W izdebce niedużej wzdłuż trzech ścian biegnie szeroka ława-tapczan, pod oknem stół, u góry pod pułapem poprzeczny drąg, na którym wiszą chłopskie łachy. Ot i całe umeblowanie. Przy stole chłopak dwunastoletni odrabia mozolnie zadanie szkolne, dwoje dzieci wala się po ziemi, a podłogi tu niema, tylko klepowisko; dziewczynka trochę starsza krząta się przy piecu. Starucha jakaś siedzi w kącie.

— A gdzież tu śpicie, skoro łóżek nie macie?

— Ot tu, na ławach, na ziemi, podścielimy sobie kożuch, albo trochę słomy...

— Ileż tu was razem mieszka?

— Jeszcze jest mąż, siostra męża z dzieckiem, no i tato...

Liczymy na palcach: — To razem dziewięć.

— No tak.

— Trochę ciasno.

— Oj bardzo ciasno, ale co robić?

Rezygnacja. A teraz zajrzyjmy do garnków.

— Co to gosposia na obiad dzisiaj gotuje?

— E, taki tam objad...Wstydliwie uchyla nakrywek na czarnych, żelaznych i glinianych garnkach. — Kapuśniak, kartofle, a tu trochę marchwi dla dzieci.

— Czem to omaścicie gosposiu?

— Ta, niczem... posoliłam trochę. Krowa się nie doi, nie ma kropli mleka.

— A świnki nie macie? Teraz są tanie, sprzedawać nie warto, więc gospodarze wolą nieraz zarżnąć dla siebie bodaj na omastę dla dzieci.

— Sprzedali my przedwczoraj świnkę. Dużą świnkę. Miała tak około 120 — 130 kg. żywej wagi. Upchali nam 29 zł. za nią. Płakać się nam chciało. Ale trzeba było pieniędzy. Buty chłopcu podzelować, bo już nie ma w czem do szkoły chodzić, podatek zapłacić — oj, ten podatek, bieda straszna, sól, naftę kupić trzeba, no i chleba czasem... My mleli tylko dwie kopy żyta, to się już wymłóciło i zjadło. Mąż teraz zarobku nie ma... i tak żyj...

Rozsypała się już babina... nie ma co dłużej słuchać, teraz lamentom końca nie będzie.

— Czy pan dygnitarz nie zechce wejść jeszcze do drugiej chaty? Nic innego tam nie zastaniemy, z wyjątkiem może, że na kuchni gotuje się krupnik na wodzie, a w kącie stoi jakieś prymitywne łóżko, ale poduszek pan dygnitarz nie znajdzie tak prędko w naszej wiosce, mało kto posiada taki zbytek. W bardzo wielu chatach już dziś niema chleba.

— Zboże tanie, a chleba niema?

— Oczywiście, tem bardziej niema, bo trzeba wszystko na rynek rzucić, aby trochę tych koniecznych groszy uzbierać. Niema z czego przyrobić, niema na czem zaoszczędzić — trzeba pasa zacieśniać coraz bardziej, od gęby sobie i dzieciom odbierać.

A dlaczego to, panie dygnitarzu, otręby takie drogie i wciąż drożeją? Czy dlatego, że to jedyny produkt nasz rolniczy, który rolnik musi z powrotem do gospodarstwa swego kupić? Musimy świnki nasze sprzedawać bodaj za bezcen, bo nie możemy ich dzisiaj wyżywić drogiemi otrębami. Ja sama — proszę posłuchać i ubawić się — miałam małego pecha. Urodziło mi się w ostatnich czasach 40 prosiąt (mów tu o biedzie na wsi, kiedy się ma naraz 40 prosiąt..!). Chowa się, chowa się to całe mrowie, ale wkońcu

trzeba się jakoś tego błogosławieństwa pozbyć. A no rada w radę z Ołeksą, moim pastuchem: będziemy sprzedawać wieprzki po 3 zł., loszki po 2 zł. Rozkupili kilka par. A no, dobrze. Więcej amatorów niema. Spuśćmy cenę Ołekso: 2 zł. i 1 zł. Kilka par znowu zabrano. Ale co zrobić z resztą? Na jarmark wywozić? Szkoda fury i jeszcze opłacać targowe... Rozdarujmy biednym. Żeby mi do jutra nie było ani jednego prosięcia w klatce! No i niema już. P o z b y ł a m s i ę p r o s i ą t. Ale co zrobić z lochami wychudzonemi? Odkarmić je teraz, a potem sprzedać po 20 zł., kiedy zjedzą za 30 zł.? Niema głupich. Ale w jaki sposób pozbyć się ich? Przychodzi mi taki pomysł, może się przytem zabawimy? Poszczujemy je psami, mamy ostre pieski (w tej chwili przynieśli mi z podwórza zagryzioną kurę) i zapolujemy na nie zamiast na dziki i to nie w lesie, ale w ogrodzie. Będzie wygodnie i bardzo wesoło. Mój mąż pożyczy panu sztucerek. Mówię całkiem serjo, panie dygnitarzu, proszę się nie śmiać. Dawniej wypuszczano z klatek niedźwiedzie dla królów... a dzisiaj... Nie, to będzie zupełnie dobra zabawa.

Szkoda tylko, że chłopi nie mogą sobie przynajmniej choć takiej rozrywki urządzić!

A cielęta? Po pięć złotych płaci się u nas teraz za cielę... skórka warta 2.50 zł., całe mięso zostaje za 2.50 zł. Nie będę już płakać, że mi padło teraz kilka cieląt na biegunkę, mała strata, krótki żal! Ale chłop, który rok cały czeka na cielę? On nie zje tego cielęcia, nawet wtedy, gdy warte jest tylko 2.50 zł.

A co do tych podatków i co do tych maszyn, o których pisze p. Wiktor, że zabierają je chłopom egzekutorzy, a potem na bruk rzucają, to proszę tylko zajechać do urzędu skarbowego w jakiemkolwiek powiatowem miasteczku i łaskawie spojrzeć: w sieniach, w przejściach, na schodach całe stosy walają się młynków, sieczkarni, wialni i innych narzędzi rolniczych, wydartych chłopom. Stoją bezużytecznie i zagradzają drogę. Może już lepiej to spalić...

— Czy ma rząd pieniądze z tego, panie dygnitarzu?

— Ależ rząd myśli o chłopie. To niesłuszne zarzuty. Hasłem dnia: Frontem do wsi! A ustawa oddłużeniowa?

— Ustawa oddłużeniowa... hm! Na zebraniu Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego we Lwowie przemawiał chłop, gospodarz z rudeckiego powiatu:

„Nieuczony jestem, prosty chłop, dlatego pytam się was, panowie wykształceni, jak to być może? Wytłumaczcie mi: coraz to nowe wychodzą ustawy, każda ma nas uszczęśliwić, a nam coraz gorzej. Rolnictwo teraz. to jak ten chory, któremu lekarz coraz to silniejsze dawki lekarstwa zażywać każe i wciąż lekarstwo okazuje się za słabe. Chory zapada coraz bardziej, zwiększone dawki nie pomagają. Teraz już staje nad nim chirurg z nożem. Czy po operacji będzie mu lepiej? Zaciągali my długi, kiedy pszenica stała po 50 zł., a krowa płaciła się 600, 700 złotych. Nie możemy oddać tych samych pieniędzy teraz, kiedy pszenica stoi po 17 zł., a krowa niżej 100 zł. Żadne rozkładanie na raty nam nie pomoże, bo my nie mamy tych pieniędzy zupełnie. Krowa za trzy lata 5 krów nie urodzi! My chcemy płacić podatki, my chcemy długi pooddawać, ale my chcemy mieć ceny na nasze zboże i bydło!“

Tak mówił chłop-gospodarz, mądry, dowcipny, o wielkiej swadzie, a sala huczała od oklasków. Panie dygnitarzu, ta mowa nie była przez radjo na świat podawana, pan jej nie słyszał! Szkoda wielka. Podaję tylko maleńki jej urywek, ale jest wierny i maluje tak doskonale nastroje na wsi.

— No, no, bieda jest wszędzie, każdy ograniczyć się musi, a wiadomo, że chłop zniesie najwięcej. Wszak siedzią i żyją jeszcze jakoś...

— Tak, żyją... Człowiekowi ostatecznie tak mało do życia potrzeba. I w karcerach średniowiecznych żyli o chlebie i wodzie, w lochach wilgotnych, bez światła, nieszczęśliwi skazańcy lub jeńcy wojenni dziesiątki lat... Tak, żyją ludzie na wsi... twarze coraz bledsze i oczka dzieciom coraz głębiej się zapadają, gruźlica i rachitis królują nie-

podzielnie — ale żyją... Mają jeszcze dobre słonko, za które płacić nie potrzebują i nawet czasem pobawią się jeszcze na weselu przy spirytusie denaturowanym. A na pociechę będziemy podobno mieli niezadługo bibljoteki po wsiach. Bardzo jesteśmy wdzięczni za tę pamięć o nas, przyda się nam trochę godziwej rozrywki..!

Temperament mnie uniósł. Ale zwolna przychodzę do siebie. Siedzę przecież w saloniku z moim wytworym gościem, a w wyobraźni tylko podstawiłam sobie w jego miejsce jakiegoś nieosobowego dygnitarza i tak żywo z nim dyskutowałem. Mój gość nie potrzebuje takich mocnych argumentów, jest już dawno przekonany i wierzy całkowicie. Ale czy pan dygnitarz uwierzył..?

Amelja Łączyńska

AKCJA NASZA
NA FRONCIE WĘGIERSKIM.

Nasza Przyszłość — to nietylko słowo drukowane, jak inne perjodyki, ale również — i przedewszystkiem — czyn, zwłaszcza od chwili, kiedy z końcem ubiegłego roku stanął za nią „Związek Polskiej Myśli Państwowej“, jako instrument do praktycznej realizacji jej zamierzeń na różnych polach pracy publicznej. Tem właśnie — inicjatywą i propagandą praktycznego czynu politycznego i społecznego, w najszerszem tych słów znaczeniu — różni się Nasza Przyszłość zasadniczo od innych perjodyków, w których każda myśl kończy się tylko — artykułem. U nas zaś artykuł jest z reguły albo introdukcją do jakiejś akcji, albo sprawozdaniem z jej toku i z osiągniętych rezultatów.

Tak jest i ze sprawą węgierską, którą Nasza Przyszłość i Koło jej Przyjaciół opracowywało i propagowało od lat kilku. Z chwilą powstania Związku Polskiej Myśli Państwowej i ukonstytuowania się w jego łonie Sekcji węgierskiej — t. j. dla sprawy polsko - węgierskiej — Związek ten i Sekcja wzięły w swe ręce praktyczną realizację opracowanego przez Naszą Przyszłość programu w tym zakresie.

A ujęły ją odrazu w sposób integralny, pragmatyczny, wysuwając śmiało propagandę hasła wspólnej granicy z Węgrami, jako postulatu bezpieczeństwa i najżywotniejszych interesów Polski. Bo Związek Polskiej Myśli Państwowej ma i może mieć na celu tylko realny interes naszej Ojczyzny. Jeżeli ten interes zgodny jest również z interesami Węgier, to tem lepiej, bo to ułatwia sprawę. Ale zaznaczamy wyraźnie, że w akcji naszej na tem polu nie kierują nami żadne sentymentalne względy „promadziar-

skie", lecz jedynie i wyłącznie interes Polski, głębiej i na nieco dalszą metę przemyślany.

O jaką wspólną granicę polsko - węgierską walczymy? O tę oczywiście, o której w danych warunkach może być realnie mowa, t. j. o granicę na przestrzeni t. zw. Rusi Zakarpackiej, przyznanej Czechom, jako mandat Ligi Narodów i co do której sam prezydent Masaryk oświadczył wyraźnie i oficjalnie wobec przedstawiciela Rosji — mniejsza o to, czy bolszewickiej, czy innej, — że uważa Ruś Zakarpacką za depozyt, który w każdej chwili, w odpowiednich warunkach, może być Rosji „zwrócony".

A więc sytuacja jasna dla Polski i wszyscy Polacy winni uprzytomnić sobie dokładnie, czego należy się z tej strony spodziewać i czem nam „rosyjski depozyt" Rusi Zakarpackiej w czeskich rękach grozi — zwłaszcza, że graniczy na długiej linji karpackiej z naszą Łemkowszczyzną i z naszą małopolską „Ukrainą".

Dlatego dążeniem Związku Polskiej Myśli Państwowej jest, aby Ruś Zakarpacka wróciła jak najrychlej do Węgier i to tem bardziej, że ani Czechy, ani Rosja nie miały z nią nigdy nic do czynienia i cała polityka czynników, rządzących obecnie Republiką Czesko - słowacką, zmierza najoczywiściej do czesko - rosyjskiego okrążenia Polski od południa. Czesi budują pomost Praga — Moskwa, który musimy skruszyć żelazną belką Warszawa — Budapeszt.

Program ten, wykładany już wielokrotnie na łamach Naszej Przyszłości i omówiony również wielokrotnie w mniejszem gronie na przygotowawczych zebraniach Sekcji węgierskiej Związku, był przedmiotem liczniejszego, niejako inauguracyjnego zebrania Sekcji, w gronie zaproszonych sympatyków i gości, w dniu 10-go marca b. r., odbytego w Warszawie, w zarezerwowanych salonach Resursy Kupieckiej.

Przewodniczący Związku, dr. Jan Bobrzyński, zagaił zebranie, reasumując dotychczasową akcję publicystyczną

i przygotowawczą Naszej Przyszłości i Związku w sprawie węgierskiej i akcentując specjalnie, że powstająca Sekcja węgierska nietylko nie ma zamiaru konkurować z innemi organizacjami polsko - węgierskiemi w kraju, ale przeciwnie, uważa ich istnienie i działalność za wielce korzystne dla siebie, jako przygotowanie gruntu pod różnym względem. Nie może tu być więc mowy o żadnej emulacji i to tem mniej, że żadna z tych organizacji, o charakterze czy to polityczno - reprezentacyjnym, czy naukowym, czy gospodarczym, nie może wyciągnąć ostatecznej konsekwencji z uczuć, jakie łączą Polaków z Węgrami i wysunąć śmiało, integralnie, hasła wspólnej granicy. To właśnie jest specjalnem zadaniem Związku, który, nie mając potrzeby oglądania się na nikogo i na żadne względy dyplomatyczne, może sobie pozwolić na tak otwarte i realne postawienie sprawy. Oczywiście, postulat wspólnej granicy polsko - węgierskiej na przestrzeni Rusi Zakarpackiej nie wyczerpuje bynajmniej programu naszej Sekcji węgierskiej, ale jest narazie jej głównym, najaktualniejszym celem.

Sprawa ta wydaje nam się obecnie już zupełnie aktualną, przynajmniej dla jej podjęcia i energicznego lansowania, gdyż sytuacja ogólna w Europie zdaje się kształtować w kierunku stopniowych korektyw pewnych, mniej żywotnych postanowień szeregu traktatów, zbyt pośpiesznie, zbyt namiętnie i przez to nieraz zbyt niesprawiedliwie skleconych i podpisanych po wojnie światowej. W sprawie zaś węgierskiej może prywatna opinja publiczna polska tem śmielej występować, że na traktacie w Trianon podpis Polski wcale nie figuruje. Zmobilizowanie więc opinji szerokich prywatnych sfer społeczeństwa polskiego w kierunku domagania się wspólnej granicy z Węgrami jest w tej chwili pierwszem zadaniem Sekcji węgierskiej naszego Związku.

Zastrzec się jednak musimy — mówił prezes Bobrzyński — wobec ewentualnych, zbyt przenikliwych i podejrzli-

wych insynuatorów, że akcja ta wypłynęła wyłącznie z naszej oryginalnej inicjatywy, jak zresztą wszystkie inne poczynania Związku i Naszej Przyszłości, a nie została nam znikąd zasugerowaną. Związek Polskiej Myśli Państwowej chlubi się właśnie tem, że nie ulega niczyjej sugestji. Być może więc, że w niejednej, śmiałej imprezie czynniki oficjalne zgromią nas, lub zgoła zdezawuują. Ta ewentualność leży już w samej istocie i charakterze naszych prac i dążeń, zgodnie zresztą z wysuniętą przez nas zasadą, że nie idziemy w niczyim ogonie, a więc ani za Rządem, ani przeciw Rządowi, ani za żadną partją polityczną, czy grupą społeczną lub gospodarczą, ale przed Rządem i przed społeczeństwem.

Po tem zagajeniu udzielił przewodniczący głosu sekretarzowi Sekcji węgierskiej, p. Eugenjuszowi Schummerowi, który złożył imieniem Sekcji następujące oświadczenie.

„Każde wielkie historyczne wydarzenie zaczyna się, jako utopja, a kończy się — realizacją. Czy rzecz pozostanie utopją, mrzonką, czy też ma się zrealizować — zależy to przedewszystkiem od liczebności i od woli czynu jego zwolenników.

Póki o konieczności wspólnej granicy polsko - węgierskiej myśleć będą setki ludzi — pomysł jest mrzonką, kiedy będą o tem myśleć tysiące — rzecz stanie się programem politycznym, a kiedy wezmą się do tego setki tysięcy ludzi — program zostanie przeprowadzony.

Oto jest logika naszego rozumowania. W naszych rozważaniach, publikacjach i przemówieniach przedstawiliśmy potrzebę i konieczność zbliżenia Polski z Węgrami. Przesłanki historyczne i świeże jeszcze, a tak bolesne doświadczenia sprzed lat piętnastu przekonały nas, że racja stanu Polski — a zarazem i Węgier — domaga się korektury północnej granicy węgierskiej. Nawet trzeźwe umysły czeskie wręcz oświadczają, że **dzisiejsze granice Czecho-**

słowacji nazawsze utrzymać się nie dadzą. Pocóż zatem odkładać to, o czem się wie, że wcześniej, czy później stać się musi? Poco pogłębiać wewnętrzne narodowościowe tarcia, poco pogłębiać wzajemną gorycz i irrydentę Rusinów podkarpackich — kiedy wszystkim jest wiadome, że dla Czechosłowacji stanowią oni uciążliwy — że użyjemy przenośni samego prezydenta Masaryka — depozyt? Tak! — depozytem nazwał Ruś Podkarpacką prezydent dzisiejszej Czechosłowacji, a wyrażenia tego użył w oficjalnej rozmowie z osobistością o charakterze dyplomatycznym!

Nie będziemy powtarzać tutaj faktów, znanych Panom dobrze i oddawna. Pragniemy tylko podkreślić naszą ideologję i naszą taktykę działania.

Związek Polskiej Myśli Państwowej, po głębokich, nieraz długotrwałych rozważaniach w ścisłem gronie swoich członków, podejmuje szereg inicjatyw, które propaguje i rozwija zrazu piórem na łamach organu Związku, jakim jest miesięcznik „Nasza Przyszłość", a później — czynem, t. j. dążeniem do realizacji planu przez działanie.

Ten i ów, nieświadomy metod naszego działania, może zapytać:

— No dobrze, ale czy Panowie porozumieli się z rządem, czy panowie mają zgodę rządu?

Proszę Panów! Gdybyśmy o każdą rzecz szli z pytaniem do rządu — bylibyśmy dyplomatami. Żywimy najwyższy szacunek dla zawodu dyplomatów, ale nie możemy oprzeć się przed wypowiedzeniem sądu, że t. zw. taktyka dyplomatyczna, stosowana przez stowarzyszenia o charakterze społeczno - politycznym, nigdy nie prowadzi do celu. Wciąż trwożliwie oglądać się trzeba za siebie, wciąż z oczami utkwionemi w stronę t. zw. czynników miarodajnych. W ten sposób nie dochodzi się do celu nigdy, a przeciwnie, plącząc się tylko koło nóg dyplomacji zawodowej i drepcząc w miejscu — nieraz utrudnia się finezyjną grę dyplomatyczną.

Zresztą żaden rząd, proszę Panów, nie potrzebuje takiej problematycznej „pomocy“ ze strony społeczeństwa; ma on własnych wykonawców swej woli. Rząd potrzebuje czego innego: szuka mianowicie, najczęściej niestety nadaremnie, owej — **niezależnej zupełnie inicjatywy społecznej.** Nadsłuchuje pilnie, co myśli samo społeczeństwo i ubolewaćby trzeba, gdyby się okazało, że to **społeczeństwo wcale nie myśli, nic nie myśli, o niczem nie myśli, że nie posiada własnej koncepcji,** że nie jest w stanie zdobyć się na myśl twórczą, niezależną, choćby nawet najśmielszą. Cóż bowiem innego powoduje politykę międzynarodową, jeśli nie zbiorowa wola społeczeństw, narodów, ożywionych ową kantowską wolą mocy, wolą siły? Czemu zawdzięcza naród swoje tryumfy i zdobycze na terenie międzynarodowym, jeśli nie mocnemu, uczciwemu wyrażaniu swych prawd, niezbędnych do życia, do rozwoju i egzystencji? Jeśli się nie walczy o nic — nie tylko się nic nie zdobywa, ale się traci. Traci się żywotność, traci się wolę, traci się charakter...

Żądamy zabezpieczenia naszych granic południowych, tak, jak przed laty zażądaliśmy bezpieczeństwa z północy, w postaci własnego morza. Tylko w oparciu o Bałtyk i Karpaty — dwie naturalne nasze granice — możemy czuć się zupełnie pewni.

Ludzie, nie znający prawa międzynarodowego, mogą nam zarzucić, że łamiemy nienaruszalność traktatów. Frazes! Nie mamy zamiaru podważać traktatu trianońskiego, tak samo, jak nie jest naszym zamiarem burzyć traktat Wersalski. A jednak, proszę Panów, kiedy zaszła tego potrzeba, kiedy okazało się, że dłużej nie możemy respektować uchybiającego nam prawa o ochronie mniejszości narodowych, dołączonego do traktatu w Wersalu i obowiązującego nas narówni z tym traktatem — p. minister Beck nie zawahał się głosem stanowczym oświadczyć przed Ligą Narodów, że mamy odwagę to szkodliwe dla nas zobowiązanie zerwać!

Od osób, które były świadkami tego historycznego oświadczenia min. Becka w Genewie, dowiedziałem się, że w dziejach Ligi **było to pierwsze i jedyne przemówienie genewskie nie nagrodzone oklaskami,** a jednak przemówienie to wywarło olbrzymie wrażenie, pełne szacunku dla mówcy, który miał odwagę wystąpić z podobnie niezdawkową deklaracją. Nie ulega kwestji, że chociaż „naruszyliśmy“ w ten sposób „nienaruszalność“ traktatu wersalskiego — prestige międzynarodowy Polski podskoczył o kilka kresek w górę.

Przestańmyż więc raz wreszcie bawić się we frazesy, którymi ludzie słabi i niedołężni usiłują pokryć swój bezwład i nieróbstwo!

Ruś Podkarpacka znajduje się pod ochroną Ligi Narodów i list Milleranda z 6 maja 1920 r., dołączony do traktatu w Trianon, powiada, że jeśli okoliczności wykażą potrzebę zmiany tych granic, Liga Narodów ma podjąć na wniosek jednej ze stron interwencję **w sprawie zmiany granic** drogą pokojową tam, gdzie to jedna z komisji granicznych uzna za pożądane.

Taką właśnie inicjatywę winno teraz wysunąć społeczeństwo polskie: domagamy się stanowczo korektury sposobem pokojowym granicy Rusi Podkarpackiej, t. j. odłączenia jej od Czechosłowacji!“.

Zabrał następnie głos prof. Franciszek Bossowski, który wprawdzie niedawno przemawiał obszernie na zebraniu Sekcji dla ustroju korporacyjnego, przybywszy specjalnie w tym celu z Wilna, jak zreferowaliśmy to na innem miejscu w niniejszym tomie wydawnictwa, ale pośpieszył powtórnie do Warszawy, aby wziąć czynny udział w dyskusji nad sprawą węgierską, której jest gorącym zwolennikiem.

„Położenie geograficzne pewnego państwa ma niewątpliwie znaczenie decydujące dla jego polityki wogóle,

a w szczególności dla kierunku jego ekspansji politycznej i gospodarczej. W żadnym może wypadku teza ta nie znajduje tak silnego i wyraźnego potwierdzenia, jak w historji państwa rosyjskiego (bez względu na jego formę rządu, a mianowicie bez względu na to, czy to będzie Rosja carska, czy też Rosja bolszewicka). Rosja przedstawia się, jako olbrzymie imperjum, jedno z największych na kuli ziemskiej, mające około stokilkadziesiąt miljonów ludności i niezmierzone bogactwa naturalne, ale pozbawione odpowiedniego dostępu do morza. To też, począwszy od Piotra Wielkiego, widzimy konsekwetne dążenie monarchów rosyjskich do zdobycia dla Rosji takiego dostępu do morza, jakiego ona potrzebuje. Piotr Wielki zdobywa dostęp do morza Bałtyckiego, Katarzyna Wielka zdobywa dostęp do morza Czarnego, wojna rosyjsko - turecka z r. 1877 podyktowana była dążeniem do sforsowania Dardaneli i otwarcia dla Rosji dostępu do morza Śródziemnego; wreszcie przez wiek XIX i początek wieku XX, aż do wojny rosyjsko - japońskiej, widzimy dążenia do zdobycia silnej podstawy na Oceanie Spokojnym; ponadto robi Rosja starania, aby ugruntować swe wpływy w Persji i tą drogą zbliżyć się do Oceanu Indyjskiego.

Obok tych dążeń występują w historji usiłowania, aby uzyskać silne stanowisko w Środkowej Europie i tą drogą odgrywać poważną rolę w stosunkach środkowo-, a nawet zachodnio - europejskich. Już Piotr Wielki bierze w tym celu udział w koalicji, zwróconej przeciwko Szwecji i w Wojnie Północnej, a następnie układa się z królem Augustem II o podział Polski. W czasie Wojny Siedmioletniej Rosja, korzystając z osłabienia Polski, bierze udział w tej wojnie, a przejście Rosji, po śmierci carowej Elżbiety, z obozu austrjackiego do obozu pruskiego ratuje Fryderyka II i Prusy, decydując tem samem o wyniku wojny. Polityka Katarzyny II, która doprowadziła do podziału Polski i do upadku Państwa Polskiego, podyktowana była nietylko dą-

żeniem do rozszerzenia terytorjalnego Rosji; przeciwnie, jak to wynika z polityki rosyjskiej owego czasu, Rosja zdawała sobie sprawę z trudności politycznych, które pociągnie aneksja obszernego kraju o bezporównania wyższej kulturze politycznej i intelektualnej, ale mimoto nie cofnęła się przed temi trudnościami dla ugruntowania swych wpływów w Europie Środkowej i wówczas w ekspansji swej na Zachód osiągnęła linję Niemna i Bugu. Przebiegła polityka Aleksandra I doprowadza do utworzenia Królestwa Kongresowego z Księstwa Warszawskiego i do połączenia go Unją personalną z Rosją pod dynastją Romanowych. Sukces ten musiał być okupiony odstąpieniem Poznańskiego Prusakom, ale mimoto wpływy polityczne rosyjskie za pośrednictwem Królestwa Polskiego przekroczyły już linję Warty w kierunku na Zachód. Wobec Niemiec, rozbitych na liczne państwa, spojone z sobą luźnie w Związku Niemieckim, car Mikołaj I ma stanowczą przewawę. „Może król pruski, bawarski lub saski, lub inny niemiec wypadł z cara łaski i car go w turmie zamknąć postanowił" pisze Mickiewicz, odczuwając trafnie ówczesną sytuacją. Dopiero zjednoczenie Niemiec i stworzenie Cesarstwa Niemieckiego w r. 1871, a potem przymierze niemiecko - austrjackie, zawarte w r. 1879 (zawiązek późniejszego trójprzymierza), stworzyły pewną przeciwwagę dla hegemonji Rosji w Europie Środkowej. W czasie wielkiej wojny Rosja nie traci z oczu swej ekspansji w kierunku zachodnim. Kiedy zamierzoną była wyprawa przeciw Dardanelom, Rosja uzyskuje od mocarstw zachodnio - europejskich desintéressement co do ziem polskich, któreby z mocy ewentualnego traktatu pokojowego na rzecz Rosji odstąpione zostały przez Austrję lub Niemczy, to znaczy, że mocarstwa zachodnio - europejskie pozostawiają Rosji swobodną rękę, czy ziemie te wcieli wprost do swego państwa, czy też uzna za stosowne ziemie te połączyć z ziemiami Królestwa Polskiego i tak rozszerzonemu Królestwu Polskiemu nadać autonomję. Kiedy już można było przewi-

dywać zbliżający się koniec wielkiej wojny, skutkiem nieuniknionego upadku państw centralnych, Koalicja uznaje, w imię zasady etnograficznej, prawa Rosji do ówczesnej Galicji Wschodniej i do Rusi Zakarpackiej.

Mniej więcej w tym czasie zawartą zostaje w Ameryce, w Pittsburgu, umowa między Czechami a Słowakami, w myśl której Słowacy zgodzili się na wcielenie swej ziemi do państwa czeskiego, w zamian za przyrzeczoną im autonomję. W ten sposób Czechosłowacja stykałaby się z Rusią Zakarpacką, należącą do Rosji, a przy rusofilskim nastroju Czechów, przy nienaturalnej konfiguracji Czechosłowacji, odbierającej jej możliwość samodzielnego bytu, oraz przy trudnościach wewnętrznych, wywołanych znaczną ilością Niemców w północnych Czechach, musiałaby ona szukać poparcia Rosji, a temsamem stanowiłaby ekspozyturę wpływów rosyjskich w Europie Środkowej; Rosja zaś miałaby w ten sposób zapewnione silne wpływy nietylko na środkową, ale i na południową Europę (Włochy, półwysep Bałkański). Zbieg okoliczności pokrzyżował jednak te plany. Zdecydowana i nieugięta postawa wojska polskiego oswobodziła Królestwo Polskie od niemieckiej okupacji w listopadzie r. 1918 i postawiła koalicję wobec faktu dokonanego, t. j. wobec istnienia naprawdę niezależnego Państwa Polskiego, które tylko siłą orężną można było zniszczyć; nieco wcześniej ówczesna zachodnia Galicja, korzystając z rozpadnięcia się monarchji austrjacko - węgierskiej, drogą zamachu stanu wyswobodziła się z pod rządów austrjackich; ówczesna zaś Wschodnia Galicja zdołała obezwładnić ukraiński zamach stanu i utrzymać tę ziemię dla Polski. W dodatku przewrót bolszewicki w Rosji pociągnął za sobą dalsze komplikacje w rokowaniach pokojowych. Mocarstwa zachodnio-europejskie uważały upadek rządów bolszewickich w Rosji za kwestję kilku tygodni; dlatego nie uznały rządów bolszewickich i nie dopuściły ich reprezentantów do rokowań pokojowych, a załatwienie sprawy granic rosyjskich od-

roczyły, umieszczając w Traktacie Wersalskim postanowienie, że granice zachodnie Rosji zostaną oznaczone później przez mocarstwa sprzymierzone.

Również w traktacie w Saint Germain nie załatwiono ostatecznie sprawy Galicji, a sam bawiąc wówczas we Lwowie, miałem najlepsze wiadomości o niebywałych utrudnieniach, stawianych Polsce na każdym kroku w walce, prowadzonej tam z Ukraińcami; działo się zaś to w tym oczywistym celu, aby nie dopuścić do opanowania tego kraju przez wojska polskie i temsamem zachować go dla przyszłej odrodzonej Rosji. Z myślą o przyszłej odrodzonej Rosji przyznano także Ruś zakarpacką Czechosłowacji, poniekąd jako depozyt, jak to w jednym wywiadzie trafnie określił Prezydent Masaryk. Gdyby plany te zostały urzeczywistnione, Polska w mniej więcej 4/5 częściach swej granicy byłaby otoczoną przez Rosję i Czechosłowację, będącą ekspozyturą Rosji w środkowej Europie. W dodatku należy pamiętać, że w myśl Traktatu Wersalskiego utrzymywanie floty wojennej przez Niemcy na Bałtyku poddane zostało daleko sięgającym ograniczeniom, na Rosję zaś, jako na mocarstwo sprzymierzone, nałożenie takich ograniczeń nie było zamierzonem, a zatem nawet ten problematyczny dostęp do morza, przyznany Polsce Traktatem Wersalskim, mógł być przecięty w razie blokady wybrzeża polskiego przez flotę rosyjską. Utrzymanie się rządów bolszewickich w Rosji pokrzyżowało także i te plany. Polska utrzymała się w b. Galicji Wschodniej i ostatecznie uzyskała uznanie swych granic wschodnich w r. 1923, a osłabienie Rosji, wywołane przewrotem bolszewickim, nie pozwoliło jej na odbudowanie floty, któraby jej mogła zapewnić przewagę na Bałtyku.

W ten sposób na razie przerwany został ten pierścień, który groził Polsce, ale byłoby złudzeniem sądzić, że niebezpieczeństwo to zostało całkowicie zażegnane; w istocie zostało ono tylko chwilowo odsunięte. Wy-

starczy, aby w województwach Tarnopolskiem, Lwowskiem lub Stanisławowskiem wywiązały się jakieś niepokoje, a wówczas bandy dywersyjne mogą przejść z łatwością przez granice, opanować te województwa i w ten sposób stworzyć połączenie terytorjalne między Rosją a Czechosłowacją. Niebezpieczeństwo takie nie jest bynajmniej urojone, jeżeli się zważy, że niepokoje w ostatnich latach na terenie tych województw były niewątpliwie podsycane przez czynniki zagraniczne i jeśli się pamiętać będzie, że w Czechosłowacji przebywa dotychczas, gościnnie tam przyjęta, liczna emigracja ukraińska, nie chcąca się pogodzić ze stanem rzeczy, istniejącym w województwach Lwowskiem, Stanisławowskiem i Tarnopolskiem. Wielkie postępy techniczne Sowietów oraz wydatna pomoc materjalna, udzielana im przez zagranicę (przedewszystkiem przez Amerykę), nakazują się obawiać, że Sowiety przystąpią w nie tak dalekim czasie do odbudowy swej floty na Bałtyku i tylko na razie zatarg sowiecko-japoński, wiążąc siły sowieckie na Dalekim Wschodzie, odsuwa od nas to niebezpieczeństwo. W dodatku należy pamiętać, że samo sąsiedztwo Polski z nieprzychylnie dla niej usposobioną Czechosłowacją na przestrzeni mniej więcej 300 klm. wymaga w razie zawikłań wojennych siły około pół miljona żołnierza dla zabezpieczenia tej granicy, odciągając tem samem wspomnianą siłę od głównego terenu wojny, gdzie mogłaby przyczynić się do odniesienia decydującego zwycięstwa. A przytem nie można zapominać, że Rosja dziś jeszcze jest państwem, słabo zaludnionem i stoi na bardzo niskim poziomie cywilizacyjnym; gdy jednak ludność Rosji zwiększać się będzie skutkiem dużego przyrostu naturalnego i gdy się podniesie poziom kulturalny Rosji, wówczas stanie się ona jeszcze groźniejszym przeciwnikiem i napór jej na granice Polski się zwiększy.

Niebezpieczeństwom tym może w sposób stanowczy zapobiec sprostowanie granicy czesko-węgierskiej w ten sposób, iżby Ruś zakarpacka została Węgrom zwrócona.

W ten sposób Polska uzyska wspólną granicę z Węgrami, a temsamem wykluczone zostanie niebezpieczeństwo utworzenia się pierścienia czesko-rosyjskiego, któryby trzymał Polskę w obcęgach.

Istnieją jednak wśród nas pewne uprzedzenia, że każda rewizja granic, ustalonych traktatami pokojowymi, jest w wysokim stopniu niebezpieczną i że rewizja traktatów w swych ostatecznych rezultatach musi wyjść na niekorzyść Polski[1]). Aby uprzedzenia te rozwiać, należy przypomnieć, że Węgrzy, domagając się rewizji swych granic, ustalonych traktatem w Trianon, domagają się nie obalenia traktatów, lecz właśnie dokładnego wypełnienia traktatów, a w szczególności przyrzeczenia, zawartego w liście Milleranda, dołączonym do traktatu w Trianon; niedawno zaś ogłoszone przez Davida Huntera Millera dokumenty (My diary at the conference of Paris with documents) dowodzą, że w traktacie w Trianon granice Węgier ustalono bez potrzebnego zbadania tych zawiłych problemów, na podstawie jednostronnych, oczywiście fałszywych informacji czeskich, aby już dłużej nie odwlekać przywrócenia pokoju i że sama Rada Najwyższa, ustalająca powyższe granice, zdawała sobie doskonale sprawę z tych niedostatków i dlatego pozostawiła otwartą możność rewizji tychże granic.

Brak wspólnej granicy z Węgrami nietylko stwarza poważne dla nas niebezpieczeństwo na wypadek wojny, ale nawet w czasie pokoju jest źródłem wielkich szkód ekonomicznych. Polska i Węgry wzajemnie doskonale się uzupełniają pod względem gospodarczym, ale klin czesko-ruski, wbijający się między Polskę a Węgry, czyni

---

[1]) Pozostawiam tu na boku, jako obojętną dla naszej sprawy kwestję, czy można dziś jeszcze podtrzymywać fikcję nienaruszalności traktatu Wersalskiego, wobec zwrócenia Niemcom Nadrenji i temsamem wyrzeczenia się przez Francję środka gwarancji dla postanowień tratatu Wersalskiego, oraz wobec faktycznego dozbrojenia się Niemiec, którego ulegalizowanie ex post jest dziś przedmiotem rokowań dyplomatycznych.

w bardzo wielu wypadkach niemożliwą wymianę gospodarczą między Polską i Węgrami, obniżając tem samem zarobki naszych przedsiębiorców i zwiększając bezrobocie w Polsce skutkiem utrudnionego eksportu zagranicę.

Wobec tego, że sprostowanie granicy, zwracające Ruś Zakarpacką Węgrom, uczyniłoby z Węgrów naszych bezpośrednich sąsiadów, należy zapoznać się z położeniem obecnego państwa węgierskiego.

Przegrana wojna sprowadziła na Węgry katastrofę. Nietylko bowiem skutkiem traktatu pokojowego w Trianon Węgry straciły dwie trzecie swego obszaru, ale dynastja królewska zmuszoną została do opuszczenia kraju, co Węgrom groziło stoczeniem się w przepaść anarchji; w pojęciach bowiem Węgrów, przywąizanych do monarchji i do tradycji, król był uosobieniem Państwa Węgierskiego i stróżem porządku, a wraz z Sejmem węgierskim także źródłem prawa. Zabranie dwóch trzecich obszaru dotychczasowych Węgier nietylko zmniejszyło obszar państwa, ale stwarzało wielkie trudności gospodarcze, gdyż Węgry zostały pozbawione swych lasów i bogatych kopalń, znajdujących się w Karpatach i Siedmiogrodzie, a równocześnie straciły nabywców swej pszenicy, mianowicie górali karpackich, nie mogących się wyżywić płodami swej górskiej ziemi, co znowu wywołało nadprodukcję zboża i spadek jego ceny. Wkońcu w traktacie pokojowym ograniczono bardzo znacznie siłę liczebną armji węgierskiej, skazując przez to Węgry na zupełną bezsilność; a zarazem z inicjatywy Francji powstaje Mała Ententa, zwrócona swem ostrzem przeciwko Węgrom, która ma na celu trzymać Węgry w ciągłym szachu tak, jak Rosja i Czechosłowacja miały trzymać w szachu Polskę. Ale przecież, pomimo takiej katastrofy, Węgrzy się nie załamali. W myśl starego prawa węgierskiego, Sejm węgierski wybrał Regenta, aby sprawował rządy w zastępstwie Monarchy, któremu okoliczności nie pozwalają na osobiste sprawowanie rządów; finanse państwa zostały upo-

rządkowane, stan gospodarczy kraju stale się poprawia. Widząc to wszystko, zagranica, a przedewszystkiem Anglja, słynąca ze swej doskonałej dyplomacji, poczyna zmieniać stanowisko wobec Węgier. Przed wojną publicysta, ukrywający się pod pseudonimem Scotus Viator, prowadził zawziętą kampanję przeciw Węgrom, domagając się ich zniszczenia i okrojenia. Po wojnie w tej samej Anglji występuje lord Rothemere, jako gorący rzecznik rewizji granic na korzyść Węgier, a kto zna dyplomację angielską, ten wie, że w tem wystąpieniu nie odgrywa żadnej roli sympatja do Węgier, lecz jedynie wyrachowanie, a mianowicie przekonanie, iż Węgry przy swym harcie ducha i przy swym zmyśle politycznym są czynnikiem, na współdziałaniu z którym należy oprzeć pracę nad stabilizacją stosunków powojennych.

Węgry przez cały czas swej tysiącletniej historji i swego sąsiedztwa z Polską pozostawały z nią stale w jaknajlepszych, przyjaznych stosunkach, a w chwilach, kiedy losy Polski się ważyły, kilkakrotnie przyszły jej z decydującą pomocą. Gdy Łokietek z największym wysiłkiem walczył z Krzyżakami i z sekundującym im królem czeskim, Węgry poparły Łokietka skutecznie w tej walce. W czasie wojny światowej Węgry były pierwszem państwem, w którem czynniki oficjalne poruszyły sprawę polską (ob. D i v e k y: „Co chcieli zrobić i co zrobili Węgrzy dla Polski w okresie wojny“, Nasza Przyszłość, t. XXXVII 1934), a w czasie wojny polsko - bolszewickiej w roku 1920 Węgrzy, pomimo wielkich trudności, stawianych im przez czynniki, Polsce wrogie, dostarczyły Polsce amunicji, która odegrała rolę decydującą w bitwie pod Warszawą. Obok tych znanych faktów, chciałbym na zakończenie przytoczyć fakt mniej znany i mniej doniosły, ale zato bardzo charakterystyczny. Po upadku powstania w r. 1863 młodzież, która brała udział w powstaniu, miała bardzo utrudnione ukończenie nauki, gdyż zakłady naukowe w większości państw europejskich były przed nią

zamknięte. Węgry pozostawały wówczas pod panowaniem austrjackiem (samodzielność państwowa węgierska uznaną została dopiero przez ugodę austro-węgierską w r. 1867), a mimoto przecież Węgrzy do szkół, w ich kraju się znajdujących, przyjęli dużo młodzieży polskiej, która brała udział w powstaniu w r. 1863 i przez to uchronili ją przed wykolejeniem w życiu.

Niedaleko Wilna, w powiecie Oszmiańskim, do dziś dnia ludzie powtarzają przysłowie, „że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie". Tak samo i my przyjaźń Węgrów poznaliśmy w biedzie, ale potrafimy o niej pamiętać także i wówczas, gdy bieda dla nas przeminęła".

Zkolei p. Henryk Drozdowski, dyrektor Izby handlowej polsko-węgierskiej, przedstawił w barwnym zarysie obecną sytuację gospodarczą Węgier i możliwości wzajemnej wymiany ekonomicznej, jak również nastrój, panujący w różnych szerokich sferach społeczeństwa węgierskiego, które spodziewa się, że przy polskiej pomocy naprawione zostaną zbyt wielkie krzywdy, wyrządzone Węgrom po wojnie światowej.

Wkońcu przemówił p. dr. Janusz Pajewski, docent Uniwersytetu warszawskiego, poświęcający się specjalnie dziejom Węgier i ich stosunków z Polską.

„Wśród naszej opinji publicznej, jak to słusznie zaznaczył pan prezes Bobrzyński, panuje w odniesieniu do zagadnień polityki zagranicznej, do zagadnień międzynarodowych, najzupełniejsza obojętność i brak zainteresowania, a w związku z tem kompletna ignorancja. Do tego dochodzi jeszcze zapożyczony w latach niewoli od wschodniego sąsiada czysto moskiewski, wschodni, „pryncypjalny" sposób myślenia. Dla rozumujących w ten sposób — życie, wielkie doświadczenia przeszłości nie mają najmniejszego znaczenia, dla nich istnieje tylko „princip". Tak więc nieznajomość rzeczy i „pryncypjalność" myślenia podały so-

bie ręce, uniemożliwiając wytworzenie właściwego poglądu na sprawy międzynarodowe. W szczególności daje się to zauważyć, gdy mowa o dzisiejszej sytuacji Węgier i o ich polityce.

Traktaty pokojowe, zawarte w latach 1919—1920, podzieliły, zdaniem naszych domorosłych znawców zagadnień międzynarodowych, Europę na dwa obozy: tych, którym traktaty przyniosły powiększenie ich stanu posiadania — i tych, których traktaty owe okroiły. Sprawa zatem przedstawia się niezmiernie prosto — głównem, jeśli nie jedynem, dążeniem pierwszego obozu musi być utrzymanie całego systemu traktatów z lat 1919—1920, gdy dążeniem drugiego obozu jest obalenie tych traktatów. Węgry dążą do obalenia postanowień traktatu w Trianon, muszą zatem iść razem z Niemcami, pragnącemi obalić Traktat Wersalski. Polska nie może pozwolić na zmianę postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego, musi zatem występować przeciwko Węgrom, jako zainteresowanym w rewizji traktatu w Trianon.

Pogląd taki jest wszakże z gruntu fałszywy; zapoznanie się zarówno z historją Węgier, jak i dzisiejszym ich położeniem wykazuje jasno, że niebezpieczeństwo niemieckie zagraża Węgrom w niemniejszym stopniu, niż Polsce. Dzieje średniowieczne Węgier, podobnie jak i Polski, to zaciekła obrona przed imperjalizmem niemieckim, ale obrona prowadzona w formie czynnej, t. zn., że i Arpadowie i Piastowie zajmowali stale, z nieznacznymi wyjątkami, stanowisko wrogie wobec Niemiec i toczyli z niemi ciągłe walki, w przeciwieństwie do czeskich Przemyślidów, którzy bardzo wcześnie już poddali się pod zwierzchnictwo cesarzy niemieckich. To też Czechy uważane były jako forpoczta, jako awangarda Niemiec. Niezmiernie dla tego poglądu charakterystycznym jest „układ wieczysty“, jaki stanął między Bolesławem Krzywoustym a królem węgierskim Kolomanem, tej treści, że wrazie napadu niemieckiego na jednego z kontrahentów, drugi zaatakuje

w jego obronie Czechy. Sytuacja zmienia się w czasach nowożytnych. Wzrost potęgi tureckiej i ciągłe posuwanie się Turków na północ, zagrażało już samej niepodległości Węgier. Zdawano sobie dobrze sprawę z tego, że własnemi siłami Węgry nie obronią się przed Turcją. Chodziło więc o pozyskanie sprzymierzeńców dla walki z Turkami; i tu pojawiły się dwie koncepcje: część narodu uważała, że dostatecznie silnym sojusznikiem jest tylko cesarz — część zaś obawiała się Niemców i pragnęła oprzeć się na Polsce. W tem szukać należy genezy podwójnej elekcji z 1526 r. i rozdarcia Węgier na dwa wieki blisko na dwie części: królestwo węgierskie pod hasłem Habsburgów — cesarzy niemieckich i niezawisłe księstwo siedmiogrodzkie z narodowymi władcami. Nadzieje wszakże, pokładane w Polsce, miały Węgrów niestety zawieść. Ze strony polskiej nie umiano zdecydować się na politykę konsekwentną, robiono krok naprzód, by zaraz się cofnąć, czem w rezultacie zrażono sobie zarówno Habsburgów, jak i ich przeciwników, nie uzyskując wzamian żadnych korzyści.

Począwszy od XVI w. Węgry na długi czas przestają być w polityce międzynarodowej podmiotem, a stają się tylko jej przedmiotem. Dopiero po ugodzie 1867 r. odzyskują Węgry swoją mocarstwową rolę. Przez osiem lat (1871 — 1879) wybitny węgierski mąż stanu, hr. Juljusz Andrássy starszy, kieruje, jako minister spraw zagranicznych, polityką monarchji podwójnej. Polityka Andrássy'ego była niewątpliwie germanofilska; był on bowiem twórcą sojuszu austro-niemieckiego. Ten proniemiecki kierunek, jaki Andrássy nadał polityce austrjackiej, wynikał z tego, że w danej chwili Rosja przedstawiała dużo większe niebezpieczeństwo dla Węgier i dla całej monarchji, niż Niemcy. Dążenie Rosji do objęcia protektoratu nad narodami bałkańskimi i wzmagająca się coraz bardziej agitacja panslawistyczna groziły Austro-Węgrom okrążeniem przez Rosję i rozbiciem od wewnątrz. Temu przypisać

należy nieżyczliwą neutralność, jaką wbrew oczekiwaniom, żywionym w Petersburgu, zajął cesarz Franciszek Józef podczas wojny krymskiej i długotrwałe oziębienie stosunków między Wiedniem a Petersburgiem. Hr. Andràssy rozpoczął wprawdzie od pozornego zbliżenia z Rosją (zjazd trójcesarski w Berlinie w 1873 r.), ale wkrótce doprowadził do kongresu berlińskiego w 1878 r. i pozbawił ją wszystkich bezmała owoców zwycięstwa, świeżo odniesionego przez nią nad Turcją. Po ustąpieniu hr. Andràssy'ego z Ballhausplatzu rząd węgierski przestał odgrywać znaczniejszą rolę w polityce zagranicznej monarchji. Podczas wojny najwybitniejszy węgierski mąż stanu, hr. Juljusz Andràssy młodszy, nie mógł zostać ministrem spraw zagranicznych dzięki ustawicznym sprzeciwom rządu Rzeszy. Dopiero na osiem dni przed ostatnią katastrofą cesarz Karol powołał go na Ballplatz, aby ratował monarchję wtedy, gdy wszystko już zostało stracone.

W erze powojennej Węgry wystrzegały się wyraźnego opowiedzenia się po stronie Niemiec, czyniły natomiast parokrotnie próby zbliżenia do Francji, chociaż w przeszłości nie znajdowały zachęcających do tego przykładów. Pierwsza taka próba miała miejsce w 1920 r. Było to w okresie starań węgierskich o pozwolenie udzielenia pomocy Polsce; ze strony francuskiej wyrażono wówczas zgodę na podniesienie kontyngentu armji węgierskiej z przepisanych traktatem trianońskim 35 tys. do 100 tysięcy. Rzecz ta jednak skutkiem intryg czeskich nie doszła do skutku. Poraz drugi usiłowały Węgry zbliżyć się do Francji za premjerostwa hr. Juljusza Karolyi'ego w 1931/2, znowu bez skutku.

W obecnej sytuacji, podobnie jak i w przeszłości, rysują się przed Węgrami dwie koncepcje polityki zagranicznej: koncepcja „mitteleuropejska" (celowo używam tego określenia) i koncepcja zachodnia. Koncepcja „mitteleuropejska" oznacza sojusz z Niemcami, a właściwie zupełne podporządkowanie się Niemcom w ich dążeniach do

zrealizowania „Mitteleuropy“ i ekspansji na Bałkany i Bliski Wschód. Program ten jest pod tym względem dla Węgrów atrakcyjny, że może im zapewnić szybsze i zupełniejsze odzyskanie utraconych terytorjów. Niebezpieczeństwo jego zaś polega na tem, że wrazie urzeczywistnienia dążeń niemieckich Węgry zachowałyby swą niepodległość tylko formalnie, faktycznie zaś stałyby się polityczną i gospodarczą kolonją Niemiec.

Koncepcja zachodnia, to jest przymierze z Polską i oparcie się o mocarstwa zachodnie, nie może wprawdzie gwarantować Węgrom szybkiego odzyskania wszystkich bez wyjątku ziem utraconych, ale zapewnia im maximum bezpieczeństwa od strony Niemiec.

Którą z tych dwu dróg pójdzie polityka węgierska, przewidzieć niepodobna. Śmiem twierdzić, że zależy to nietyle może nawet od samych Węgrów, ile od Polski. Jeżeli bowiem Polska nie powtórzy swych błędów z XVI wieku, lecz zdecyduje się na mocną i konsekwentną politykę nad Dunajem i ułatwi Węgrom wyjście z ich obecnego impasu, zyska dzielnego i pewnego sojusznika, na którym (w przeciwieństwie do Czech) można się oprzeć. Węgry zaś, widząc nietylko większe korzyści koncepcji zachodniej, ale także i jej realność, niewątpliwie za nią się opowiedzą“.

Zebranie zamknięte zostało postanowieniem, że Związek Polskiej Myśli Państwowej i jego Sekcja węgierska kontynuować będą nieugiętą, systematyczną działalność w duchu powyższych wskazań.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ.

Ukonstytuowany na walnem zebraniu 12-go grudnia z. r. Związek nie miał oczywiście jeszcze możności rozwinięcia pełnej aktywności w pierwszym etapie swych prac, obejmującym okres od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Przeszkadzały mu w tem z natury rzeczy różne czynności techniczne, organizacyjne, niezbędne jednak dla zbudowania solidnych podstaw dla dalszej, konsekwentnej akcji. Niemniej jednak powiodło się zainaugurować i wdrożyć szereg spraw i powołać do życia niektóre sekcje, przewidziane zasadniczym programem Związku.

Przedewszystkiem największy nacisk położył Zarząd Związku wspólnie z najbliższymi sympatykami jego akcji na możliwie głębokie i dokładne przedyskutowanie i uzgodnienie właściwych granic i celów działalności w różnych dziedzinach, reprezentowanych lub mających być reprezentowanemi przez poszczególne sekcje, działające autonomicznie, niemniej jednak w odpowiedniem porozumieniu z Zarządem i z Redakcją Naszej Przyszłości.

Odbył się więc długi szereg zebrań w mniejszych gronach, po kilka lub kilkanaście osób, na których poszczególne zadania zostały dokładnie sprecyzowane, tak pod względem teoretycznym, jak i praktycznej ich realizacji. Zebrania tego rodzeju kontynuowane są i będą w dalszym ciągu, stanowiąc niejako „seminarja", w których kształci się oryginalna, samorzutna myśl Związku w różnych dziedzinach, dążąc przedewszystkiem do wytworzenia w każdym danym kierunku odpowiedniej „szkoły" pisarzy i działaczy.

Takie właśnie ujęcie zadań Związku może nadać mu

pożądaną aktywność i systematyczność działania w każdej konjunkturze, w przeciwieństwie do partji politycznych, które wszystkie żyją bądź co bądź konjunkturą, mierzą swe poczynania i swą taktykę podziałką od jednej kadencji wyborczej do drugiej i lada drobna zmiana rządu lub kierunku decyduje bezpośrednio o ich losie i o owocach ich nazbyt aktualistycznej pracy. Związek zaś nasz, jeżeli ma spełnić swą rolę i swe zadania, musi wyrobić w sobie przedewszystkiem moment ciągłości i niezależności od fluktuacji konjunktur. I dlatego musi w każdym kierunku swego działania oprzeć się przedewszystkiem o „szkołę“, reprezentowaną przez ludzi, działających z głębszem przekonaniem, bezinteresownie i odpowiednio w danym zakresie wyrobionych.

W ramach więc wyżej wspomnianych czynności organizacyjnych położył Zarząd Związku główny nacisk przedewszystkiem na wzmocnienie i rozszerzenie centralnej placówki Związku w Warszawie, nie zaniedbując jednak pewnej akcji także w kierunku zapoczątkowania ośrodków swych w innych punktach kraju, a w pierwszym rzędzie w Poznaniu i w Wilnie. Pewne wstępne kroki podjęte zostały także w kierunku Krakowa, Lublina i Katowic.

Akcji tej odpowiada również skład osobowy Zarządu, który według statutu może uzupełniać się w miarę potrzeby przez kooptowanie odpowiednich dalszych członków. Dotychczasowy, początkowy Zarząd składa się celowo z ludzi, którzy już oddawna — jeszcze w ramach Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości — wyszkolili się wzajemnie w metodach i zadaniach powstającego Związku, wykazali zapał dla sprawy i położyli różne dla niej zasługi. Przypominamy tu dla porządku, że prezesem Zarządu jest dr. Jan Bobrzyński, reprezentujący w Zarządzie zarazem „Naszą Przyszłość“, która statutowo, jako osoba prawna, jest stałym członkiem Związku. Wiceprezesem Zarządu jest znany przemysłowiec w Warszawie p. Stanisław Meyer, gene-

ralnym Sekretarzem p. Marjan Karczewski, kierownik jednej z sekcji Państwowego Banku Rolnego, Skarbnikiem redaktor Józef Czarnecki, znany jako pisarz i działacz katolicki. W skład Zarządu wchodzą nadto pp. dr. Jerzy Pogonowski, członek sekretarjatu Najw. Trybunału Administracyjnego, prawnik i zarazem wybitny slawista, przemysłowiec Leopold Wellisz, członek zarządów kilku wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, Marjan Mysłakowski, dyrektor polsko - angielskiego przedsiębiorstwa transportowego United Baltic Corporation, inż. Maciej Mączyński, członek warsz. Stowarzyszenia Techników i literat - publicysta Eugenjusz Schummer. Zamiejscowymi zaś członkami Zarządu są dr. Franciszek Bossowski, prof. Uniwersytetu wileńskiego i szambelan mec. Stanisław Sławski w Poznaniu, jako zarazem propagatorzy idei Związku na tamtejszych terenach.

Zarząd Związku, mimo nawskroś praktycznych jego zadań, kładzie duży nacisk na przyciągnięcie do współudziału ludzi nauki, zwłaszcza profesorów wyższych uczelni, wychodząc z założenia, że tylko głębsze podstawy naukowe — nie zaś konjunkturalne kombinacje polityczne — mogą zapewnić danej akcji w kraju prawdziwą solidność i ciągłość.

Równocześnie przystąpił Zarząd do stopniowego uruchomienia dziesięciu sekcji, przewidzianych programem. Praca ta jest obecnie w pełnym, planowym toku, z tem, że oczywiście nie wszystkie sekcje będą mogły być uruchomione już w bieżącym sezonie, ale te tylko, które zbiegiem okoliczności stały się w ramach dotychczasowej działalności Związku najaktualniejsze i za któremi leży już dłuższe doświadczenie i obfitszy zasób prac przygotowawczych — zarówno publicystycznych, jak i wdrożonych propagandowym czynem.

I tak pierwsza skolei rozpoczęła swą działalność Sekcja węgierska, której akcja stoi w ścisłym, dobrze przemyślanym związku z ogólnym programem „Bloku dziewięciu

państw środkowo - wschodniej Europy“, wyłożonym już w długiej serji artykułów od trzech lat na łamach Naszej Przyszłości i przedyskutowanym wielokrotnie na większych i mniejszych zebraniach Koła Przyjaciół N. P., a następnie Związku. Z zadowoleniem stwierdzić możemy, że koncepcja ta — poza konjunkturalnemi ramami wielkiej polityki dyplomatycznej, jaką Polska prowadzi na arenie międzynrodowej — staje się siłą rzeczy coraz bliższą, coraz realniejszą i aktualniejszą i znajduje swój wyraz w ewolucji, jaką różnemi drogami przechodzą państwa, położone w tak zwanym przez nas „trójkącie niebezpieczeństwa“ między Bałtykiem, Adrjatykiem i Morzem Czarnem.

Sekretarzem Sekcji węgierskiej jest p. E. Schummer.

Niemal równocześnie ukonstytuowała się Sekcja dla ustroju korporacyjnego. Specjalnie to aktualna dzisiaj sprawa, o pierwszorzędnem znaczeniu dla przyszłej ewolucji naszego państwowego, społecznego i gospodarczego ustroju, wobec uchwalenia nowej Konstytucji, która stanowi wprawdzie przełomowy postęp w historycznem dziele Naprawy Rzeczypospolitej, niemniej jednak jest dopiero pierwszym etapem w tym kierunku.

Jako trzecia z rzędu uruchomiona została, a raczej zregenerowana, dawno już, choć z przerwami, działająca Sekcja ruska. Odbyła w marcu swe zebranie konstytuujące, powierzając sekretarjat p. red. Czarneckiemu i konkretyzując sobie program działania, dokładnie określony co do granic i celów. Jedno i drugie zostało już w zasadzie omówione w szeregu artykułów w poprzednich tomach Naszej Przyszłości. Nie mieszając się zupełnie do całokształtu problemu polsko - ruskiego i do wszelkiej aktualistycznej w tym względzie polityki — gdyż jest to zadaniem rządu, sejmu i stronnictw politycznych — wytyczyła sobie nasza Sekcja ruska narazie tylko dwa zasadnicze cele działania: 1) podważenie siczowo - hajdamackich podstaw dzisiejszego ukrainizmu i rekonstrukcję na jego miejscu szlachetniejszych tradycji ruskich, co zasadniczy wpływ wywrzeć mu-

si na mentalność i stosunek do Polski społeczeństwa ruskiego (ukraińskiego), 2) systematyczne śledzenie i sygnalizowanie postępów bojowego ukrainizmu, zasłaniającego się pozornem hasłem Wielkiej Ukrainy, a w gruncie rzeczy idącego na ukrainistyczny podbój Polski w ogromnym półksiężycu od Dunajca przez Łemkowszczyznę, Małopolskę Wschodnią, Chełmszczyznę, Wołyń, Polesie i Białoruś, aż po Wilno.

W dalszym ciągu zapoczątkowaną zostanie przed okresem wakacji letnich jeszcze Sekcja dla spraw gospodarczych, również tylko w ramach pewnych ścisłych granic i celów. Temat prac tej Sekcji, która wleje najżywotniejszą treść w działalność Związku, jest również oddawna w zasadach swych opracowany licznymi artykułami w Naszej Przyszłości (zwłaszcza dra Bobrzyńskiego i prof. Kliszewicza) i wymaga już tylko pewnego systematycznego ujęcia i praktycznego wdrożenia. Rozwodzić się bliżej nad tym obszernym tematem niepodobna na tem miejscu, ale informować będą o tem komunikaty Sekcji.

Od niedawna zwrócił Związek również uwagę na sprawę słowacką. Sprawa ta — to jeden z kardynalnych błędów Polski, powstającej po wojnie światowej w pierwszej chwili nietyle z prawdziwym patrjotyzmem i głębszą myślą państwową, ile przedewszystkiem w atmosferze rozwichrzonej, krótkowzrocznej demagogji i krzykliwej, bezmyślnej postępowości za wszelką cenę. Przegraliśmy wówczas — jak tyle innych spraw, niestety! — sprawę słowacką, t. j. zwrócenie na powstającą Polskę oczu i dążeń Słowaków i pozyskanie sobie ich przychylności. Wrogi pas ziemi otoczył nas od południa, budując bezpośrednią drogę z Pragi do Moskwy, przerwaną w tej chwili jeszcze tylko niewielkim klinem południowo - wschodniej Małopolski.

Błąd ten musi Polska naprawić.

A nad całą tą akcją Związku i Naszej Przyszłości, pozornie różnorodną, ale przy głębszem wniknięciu w jej isto-

tę łatwo dającą się sprowadzić do wspólnego mianownika „polskiej myśli państwowej“, unosi się wielka idea moralna, która wszędzie stanowi spiritus movens grona propagatorów tej akcji. Jest to walny problem prawa własności prywatnej w najszerszem tego słowa znaczeniu, obejmujący więc wszystko to, na czem najbardziej każdej jednostce zależy, a dla którego ochrony buduje sobie jednostka państwo: wszystko to mianowicie, co człowiek świadomie lub podświadomie ujmuje w pojęciu „moje“. Podchodzi pod to pojęcie zarówno majątek prywatny, jak swoboda uczciwego zarobku indywidualnego, rozwój każdego warsztatu pracy, główny bodziec twórczości ludzkiej, ustrój rodzinny, wiara i uczucie religijne, wreszcie Ojczyzna. To wszystko sypie się automatycznie w gruzy z chwilą, gdy jakaś doktryna wstrząsać zaczyna prawem własności. Wielu polityków, nawet konserwatywnych, ale nazbyt obawiających się demagogicznego zarzutu „wstecznictwa“, rzuca pojęcie prawa własności prywatnej na flukta wszelakich konjunktur. Wielu prawników obawia się jasno je sformułować. Wiele sfer gospodarczych zaprzepaszcza je dla chwilowych, nieraz pozornych tylko korzyści.

W przeciwieństwie do tego niesłychanie płytkiego, krótkowzrocznego oportunizmu, idącego bezspornie na rękę wszelkim doktrynom społecznego wywrotu, staje Związek Polskiej Myśli Państwowej mocno i twardo w obronie prawa własności, nie wahając się, gdzie potrzeba, uderzyć pięścią w stół oportunistom wszelkiego kalibru i sformułować jasno tezę: Prawo własności prywatnej jest dla nas niewzruszalnym dogmatem, ufundowanym na prawie Boskiem, prawie przyrody i na instynkcie samozachowawczym człowieka i wobec tego w zasadach swych nie podlega żadnej ewolucji. Specjalnie zaś podstawową racją stanu i bytu Polski, położonej geograficznie na rozdrożu między azjatyckiemi doktrynami Wschodu a niemniej wywrotowemi, zdegenerowanemi doktrynami Zachodu, jest być niewzruszoną twierdzą Prawa Własności, gdyż w tem

właśnie leży szczególna moc i misja dziejowa Polski, która — mimo wszelkich jej przygodnych słabości — podtrzymuje ją na mapie Europy i raz po raz ratuje ją z upadku. Przekreślenie Prawa Własności na modłę Wschodu lub Zachodu pod wpływem narkozy haseł fałszywego postępu równałoby się przekreśleniu egzystencji państwa i narodu polskiego. To rozumieć powinien każdy Polak, a w pierwszym rzędzie ten, kto chce mieć jakiekolwiek kwalifikacje na polskiego męża stanu.

Zdecydowana akcja w tym kierunku łączy się z programem kilku sekcji Związku Polskiej Myśli Państwowej, a przedewszystkiem Sekcji gospodarczej i Sekcji dla ustroju korporacyjnego. Polski korporacjonizm bowiem nie powinien w niczem naruszyć dogmatu prawa własności prywatnej, a przeciwnie, ma stać się tylko racjonalniejszem jego ujęciem i silną podporą. Ale ponieważ obrona prawa własności nie polega tylko na pustych twierdzeniach, ale przedewszystkiem na usunięciu tego wszystkiego, co w prawodawstwie, mentalności, pozornych korzyściach i uświęconych zdawna złych obyczajach danego społeczeństwa leży, więc Związek nasz, a zwłaszcza jego Sekcja gospodarcza, pozostawiając na boku efemeryczne szczegóły gospodarstwa krajowego, postawi sobie za walne, choć z początku zapewne mało popularne zadanie wykazać śmiało, w czem tkwi dotąd błędne, krótkowzroczne i skrajnie oportunistyczne pojęcie prawa własności, stanowiąc w istocie zatruty cierń na drodze stopniowego zwalczania t. zw. kryzysu gospodarczego.

ŻMUDŹ CZY LITWA?

Wiadomo wielu czytelnikom Naszej Przyszłości, że z jej inicjatywy powstał zeszłego roku „Związek Przyjaciół Litwy“. Ale nie jest jeszcze wiadomem ogółowi, że Nasza Przyszłość nie ma już od szeregu miesięcy z tym związkiem nic do czynienia.

Związek ten bowiem pomyślany był od początku jako realizacja zamierzeń sekcji dla spraw litewskich Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości. Miało więc najpierw Koło to zorganizować się w ogólny „Związek Polskiej Myśli Państwowej“, a wówczas dopiero sekcja litewska tego centralnego zrzeszenia miała przekształcić się stopniowo w jego pochodny „Związek Przyjaciół Litwy“.

To był plan racjonalny. Stało się jednak inaczej, o czem wszyscy czytelnicy Naszej Przyszłości i sympatycy naszej akcji winni teraz dokładnie być powiadomieni. Związek Przyjaciół Litwy“ powstał bowiem zawcześnie, znacznie przed ukonstytuowaniem się głównego „Związku Polskiej Myśli Państwowej“, którego miał być jedną z emanacji. Nastąpiła więc taka sytuacja, że już ukonstytuowany „Związek Przyjaciół Litwy“ był w pełnym toku działania, zanim statut i dokładny program „Związku Polskiej Myśli Państwowej“ mógł się skrystalizować, wejść w życie i nadać odpowiedni kierunek działalności „Związku Przyjaciół Litwy“ w organicznej konsekwencji całokształtu naszego programu w różnych dziedzinach, a zwłaszcza w dziedzinie i metodzie ujmowania przez nas problemów zagranicznych. W rezultacie tej sytuacji, tego zbyt pośpiesznego wyprzedzenia przez niektórych organizatorów naszego litewskiego programu całokształtu organizacyjnego naszej akcji, oderwał się „Związek Przyjaciół Litwy“ od wspólnego pnia i poszybował torami, całkiem odmiennymi

od szkoły i metody Naszej Przyszłości i powstałego dopiero w grudniu z. r. na tych podstawach „Związku Polskiej Myśli Państwowej".

Nie było w tem właściwie żadnych scysji personalnych, jakie zwykle stanowią podłoże frondy w łonie pewnego ruchu lub zrzeszenia. Nie odnosiliśmy się też nigdy nieprzyjaźnie do Związku Przyjaciół Litwy. Ale poprostu widząc, że Związek ten wszedł w akcji swej na obce naszej mentalności tory — czemu wówczas w braku naszej głównej organizacji trudno nam było zaradzić — puściliśmy go z ręki i dali całkowitą swobodę działania, nie robiąc opozycji, ale i zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność za jakiekolwiek poczynania oderwanego już zupełnie od nas związku.

A właściwą przyczyną tej naszej celowej bierności, z jaką wypuściliśmy z rąk ten związek i przestaliśmy się nim interesować, jest decydujący moment zasadniczej różnicy poglądów na sprawę litewską między Naszą Przyszłością i Związkiem Polskiej Myśli Państwowej, a odszczepionym od nas Związkiem Przyjaciół Litwy. Różnica ta jest tak wielka, tak integralnie wgłąb problemu polsko - litewskiego sięgająca, że wyklucza zgóry jakiekolwiek kompromisy.

Oto — ogółem biorąc — Związek Przyjaciół Litwy stanął odrazu na stanowisku obecnego status quo między Polską a Litwą i biegnąc do celu po linji najmniejszego oporu, a przynajmniej po tej, która mu się taką wydała — przekreślił całe poprzednie dzieje polsko - litewskie i przyjął za punkt wyjścia, że w roku powstania Związku, t. j. w 1934, znalazły się nagle obok siebie dwa, całkiem obce i pod każdym względem niezależne państwa równorzędne, między któremi Związek Przyjaciół Litwy ma nawiązywać przyjazne stosunki zapomocą wydawnictw kulturalnych, wzajemnych imprez muzyczno - wokalnych, wystaw współczesnej sztuki i t. p., starannie jednak unikając kwestji politycznych i historycznych.

A to jest utopja. Więc — według tej metody — mają Polacy, zwłaszcza Wileńszczanie, zdusić w sobie wszystko, co im umysł i serce rozsadza, a Litwini kowieńscy mają zrobić to samo — a natomiast jedni i drudzy mają rozkoszować się wzajemnie aktualistyczną muzyką, literaturą i sztuką! Metoda taka byłaby bardzo może celową, gdyby chodziło o nawiązanie przyjaznych stosunków między Polską a np. Guatemalą lub Costariką w Ameryce środkowej, które to republiki — nie chcę tu uwłaczać ich godności — są nam jednak mniej więcej tak obojętne, jak śnieg zeszłoroczny. Ale nawet i w takim wypadku zawarcie żywszych stosunków rozpoczęłyby się z pewnością wyszukaniem i nawiązaniem do tradycji jakiegoś emigranta polskiego, który może znalazłby się w szeregach powstańców kreolskich, walczących o niepodległość przeciw Hiszpanom lub Portugalczykom. A więc i w tak egzotycznym wypadku punktem wyjścia byłaby historja. Inaczej mieszkańcy Guatemali lub Costariki nie zrozumieliby, skąd nagle Polska do nich się zwraca. Wszak tradycje Kościuszki i Pułaskiego niemałą stanowią więź naszych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, a nawet kilkowiekowe krwawe, lecz zarazem i bohaterskie boje polsko - tureckie, zakończone pogromem Turków pod Wiedniem, ale następnie niemniej także tworzeniem polsko - tureckich legjonów przeciw Rosji, wzbudzają dzisiaj między Polską a Turcją wyraźne uczucia sympatji i niewątpliwego szacunku, opartego właśnie na reminiscencjach wielokrotnego, bohaterskiego krzyżowania mieczów z obu stron.

A tymczasem Związek Przyjaciół Litwy stanął na stanowisku — przynajmniej oficjalnie — przekreślenia historji polsko - litewskiej, wyeliminowania wszelkiej polityki i, mówięc obrazowo, zaprowadzenia obu narodów do teatru lub na wystawę obrazów. Przepraszam, ale każdy myślący Polak i Litwin przyznać mi musi, że tak się głębokiej kontrowersji politycznej i narodowej polsko - litewskiej nigdy nie rozwiąże!

Jeżeli Polaków i Litwinów łączy wielowiekowa historja, a dzielą dzisiaj głębokie polityczne różnice, to nieśmiałem, sztucznie obojętnem odwracaniem uwagi na jakieś uboczne kwestje literatury i sztuki, a nawet pogranicznej wymiany towarowej, kontrowersji nietylko się nie załagodzi, ale jeszcze się ją zaostrzy i pogłębi. Byłoby to bowiem swarowanie maścią raka, który wymaga głęboko sięgającego chirurgicznego cięcia.

My zpod znaku Naszej Przyszłości i Związku Polskiej Myśli Państwowej — który w program swój wstawił, jak wiadomo, utworzenie specjalnej Sekcji dla sprawy polsko - litewskiej — inaczej tę rzecz rozumiemy. Niewolno, zdaniem naszem, zasłaniać oportunistycznie przed oczami Polaków i Litwinów kowieńskich historji polsko - litewskiej. Niewolno tembardziej, że — na nic się to nie przyda. Trzeba iść w imię politycznego rozsądku, ale i w imię prawdy dziejowej. Nietrzeba wywoływać w umysłach Litwinów kowieńskich wrażenia, że się ich aż tak boimy, że przekreślamy ze strachu dzieje polsko - litewskie wraz z Wilnem i dynastją Jagiellonów i nawet walczącym na Żmudzi na czele litewskiego ludu o wolność wspólnej Rzeczypospolitej ks. Mackiewiczem w powstaniu 1863 r.

Takich tuszowań historycznych dla pozyskania łask pp. Waldemarasów i podobnych robić nam niewolno, bo to chybia zupełnie celu i ośmiesza nas przedewszystkiem wobec samych Litwinów kowieńskich.

Ośmieszyć nas może tembardziej, że w gruncie rzeczy nie my ich, ale oni nas w krytycznej chwili — która niewątpliwie nadejdzie — potrzebować będą. Litwa Kowieńska, sprzeniewierzona Rzeczpospolitej Polskiej, czy — jeżeli kto tę nomenklaturę woli — Rzeczpospolitej Polsko - Litewskiej, stanie się bezapelacyjnie łupem Niemiec lub Rosji. A wówczas nie będzie w Kowieńszczyźnie miejsca dla Waldemarasów, ale będą tylko niemieckie Waldemary lub ich odpowiedniki w rosyjskiem tłumaczeniu.

Ale pozatem, czemże jest, ściśle biorąc, dzisiejsza Kowieńszczyzna? Czy to istotnie Litwa?

Nic podobnego. Rdzeń państwa litewskiego z Wilnem i innemi większemi, historycznemi miastami dawnego państwa litewskiego znajduje się po naszej stronie. To nie ulega wątpliwości, ani rzeczowej dyskusji. Czemże więc jest naprawdę dzisiejsza Litwa Kowieńska?

Niczem innem, jak dawnem naszem Starostwem Żmudzkiem, z dodatkiem paru sąsiednich skrawków Polski i właściwej Litwy, oderwanem psychicznie od wspólnego pnia polsko - litewskiego, najpierw rozkładową, popowstaniową polityką rosyjską, a potem, w drugiej fazie wojny światowej, niemniej perfidną polityką niemieckiego Oberostu, która dążyła do zdobycia dla ochrony Prus Wschodnich nowej prowincji niemieckiej.

Stąd twór, powstały po wojnie, w postaci niepodległej Litwy Kowieńskiej, jest w głębszej swej istocie produktem polityki rosyjsko - niemieckiej, o czem świadczy nienaturalna nienawiść do Polski, która mu nie grozi w niczem, a natomiast kolejne kokietowania z Niemcami i Rosją, grożą mu pod każdym względem. Ten właśnie „grzech przeciw naturze“, któremu hołdują rządzący dzisiaj w Kowieńszczyźnie czynniki, jest wymownym dowodem rosyjsko - niemieckiej genezy tego dziwnego tworu.

Nie na Jagiellonów więc powoływać się mogą dzisiejsi Kowieszczanie, lecz conajwięcej na podległego Witoldowi partyzanta Skirwojłę. Zresztą już Witold używał, a raczej nadużywał Żmudzi — i właśnie Kowna — jako narzędzia w targach z Krzyżakami, raz im ją oddając we władanie, potem odbierając zpowrotem. To też dobrze wówczas nieszczęsna Żmudź krwią spłynęła, dopóki kresu nie położyła tym dzikim intrygom — Jadwiga, a za nią Jagiełło wraz z wielką ówczesną, prawdziwie twórczą i dalekowzroczną polityką panów krakowskich.

Dzisiejsza, przez język dyplomatyczny skomplikowana i zaciemniona sprawa „polsko - litewska“, w gruncie

rzeczy wcale nie istnieje. Chodzi natomiast tylko o problem powrotu Żmudzi na łono Rzeczpospolitej, tej Żmudzi, odczepionej od pnia polsko - litewskiego przez Moskali, a potem gorliwie organizowanej, jako odrębny, buforowy twór ad usum... króla pruskiego.

A obecne rządy tej oderwanej Żmudzi dążą widocznie — tylko w daleko niebezpieczniejszy sposób i na daleko większą skalę — do powtórzenia na żmudzkim organiźmie polityki Witolda: robią z niezawisłego tworu żmudzkiego przedmiot przyszłych targów rosyjsko - niemieckich, na których najgorzej wyjdzie bez żadnej wątpliwości obecny, rozwydrzony nacjonalizm antypolski Żmudzinów.

Bo i ten nacjonalizm jest nienaturalny. Nacjonalizm ma swe uzasadnienie, jeżeli danemu narodowi, czy jego kulturze, coś grozi. A co grozi z polskiej strony narodowi, językowi i kulturze litewskiej?

Nic absolutnie! Świadczy o tem, aż po ostatnie czasy, wielki sentymentalizm Polaków dla kultury litewskiej. Najwybitniejsi poeci i pisarze polscy wysoko zawsze podnosili symbol „Kunigasa“ lub „Dewajtisa“. Nikomu z Polaków ani przez myśl nie przeszło prześladować, czy poniżać język litewski, swoistą kulturę i zwyczaje lub tradycje historyczne Litwy. Wspólnota pięciu wieków wytworzyła bezprzykładną w dziejach innych narodów więź polsko - litewską, tak silną, że — gdyby nie sztuczny niemiecki twór Litwy kowieńskiej — nikomu z Polaków nie przeszłoby przez myśl dziwić się, gdyby np. ministrem w Warszawie został mianowany jakiś najrdzenniejszy Litwin, mówiący w domu po litewsku.

Co więcej — więź ta jest tak silna, że bez cienia niesympatji do Litwinów czytamy i delektujemy się balladą o „Trzech Budrysach“. Nie gniewamy się wcale o to, że przecież wyruszyli oni na rabunek do Polski, porywając tam żony dla siebie, zachęceni przykładem ojca. Uderza nas to nawet poniekąd sympatycznie, że ci młodzi Litwini, rezygnując z klejnotów, które mogli zdobyć w innych kra-

jach, wyprawili się do Polski — po żony. Wyczuwamy w tem mimowoli połączenie krwi polskiej i litewskiej, które też istotnie nastąpiło. Z pewnością też żadna ustawa, ani żadna taktyka rządu nie sprzeciwiałaby się kształceniu w granicach Rzeczpospolitej języka litewskiego, kultury i tradycji litewskiej. Nikt nie przeczyłby w Polsce, że Wilno jest stolicą ziem litewskich i głównym ośrodkiem narodu litewskiego. A że jeden pisarz litewski pisałby po polsku na chwałę wspólnej Ojczyzny, a drugi po litewsku również na chwałą wspólnej Ojczyzny, to cóżby to komu mogło szkodzić? Polak sławiłby Chrobrego, Litwin Gedymina, a obaj składaliby hołd pamięci Wielkiej Królewny Andegaweńskiej, Jadwigi, która z ich obu krajów wielkie mocarstwo uczyniła, zdolne do oporu przeciw nawałom ze wschodu i zachodu, z północy i południa.

W tem leży głębszy sens dziejów polsko - litewskich, zawsze żywy i aktualny. A porywczy, lekkomyślny incydent nienawiści żmudzkiej jest samobójczym eksperymentem, który im prędzej się skończy, tem lepiej będzie nietylko dla Polski, ale przedewszystkiem dla samych Litwinów.

Jan Bobrzyński.